

Za wasze i nasze majątki
s. 4



Jak kształtowały się
granice Polski
s. 14



Radziecka
sprawiedliwość
s. 18



Cały Lwów na jego głów
s. 19



O kamienicy, w której
się urodziłem
s. 22



www.kuriergalicyjski.com

Niezależne pismo Polaków na Ukrainie

Kurier Galicyjski

30 marca – 12 kwietnia 2012 nr 6 (154)

Wesołych Świąt!



Wielkanoc 2012

Dzieląc się radością z przeżycia Paschalnej Tajemnicy Odkupienia żyję czytelnikom "Kuriera Galicyjskiego" w Roku jubileuszowym 600-lecia Inkwizycji we Lwowie wszelkimi potrzebnymi środkami od Augustusa Zmetyjeł następnego.

Niech moc Jego zwycięskiej śmierci i wstania w to, że On żyje wlewa w nasze serca pokój, radość a także pełnię zaufania Opatrości Bożej.

Wraz z domem modlitwy
+ dziękuję do każdego

Najserdeczniejsze życzenia zdrowych, rodzinnych i spokojnych Świąt Wielkanocnych, smacznego jajka oraz mokrego dyngusa składam wydawcom i czytelnikom Kuriera Galicyjskiego
Henryk Litwin

Nadzwyczajny i Pełnomocny Ambasador Rzeczypospolitej Polskiej na Ukrainie

„Wesoły nam dzień dziś nastał”

Z okazji Świąt Wielkanocy pragnę przekazać najserdeczniejsze życzenia czytelnikom oraz redakcji „Kuriera Galicyjskiego”, który wiernie pełni swoją misję wśród Polaków na Zachodniej Ukrainie!
Niech Zmartwychwstanie Pańskie, które niesie odrodzenie duchowe, napelni nas wszystkich pokojem i wiarą oraz da siłę do pokonywania wszelkich trudności.
Niech Pan Jezus Zmartwychwstały obdarza Państwa zdrowiem, pogodą ducha oraz siłą i odwagą w niesieniu prawdziwej miłości i braterstwa!

Konsul Generalny Rzeczypospolitej Polskiej
we Lwowie
Jarosław Drożdż

Oto dzień, w którym smutek
Zamienia się w radość,
Gdy Chrystus dokonał
Swemu Ojcu zadość.

Zmienił w triumf, chwałę
Okrutne cierpienia.
Przez krzyż doskonały
Bóg dał nam zbawienie.

On żyje, wydzwania
Radosne hosanna
Dziś dzwoni Zmartwychwstania.
Błogosławmy Pana!

Stanisława Nowosad



Wielkanocny ranek

o brzasku
bijące serce dzwonu
przyspiesza ludzkie
rzeźbi nadzieję
wyciszzone myśli kłęczą
napelnione wiarą
baranek w barwinkowej szacie
patrzy
na odbite tęczę kraszanki
tryskające życiem
tajemnicą
wiosna serwuje bukiety
ALLELUJA!!!

**Henryka Dederko
Czułczyce 2012**

Spłonął jeden z najpiękniejszych klasztorów na Kresach

W położonej nad Zachodnim Bugiem wsi Żwirka koło Sokala (83 km od Lwowa), 27 marca spłonął doścześnie XVII-wieczny kościół i były klasztor bernardynów. Mieścił się w nim zakład karny o zaostrozonym rygorze, gdzie w celach znajdowały się m.in. osoby skazane na dożywocie.



KONSTANTY CZAWAGA
tekst
www.zik.ua zdjęcie

Ks. Andrzej Miłułka, proboszcz w Sokalu oraz kapelan więzienia poinformował „Kurier”, że podczas pożaru, który trwał kilka godzin, zawałiła się wieża i krzyż, a z klasztoru pozostały wyłącznie opalone ściany. Silny wiatr przeszkadzał gaszeniu pożaru.

Przed zmianą granicy polsko-sowieckiej do 1946 roku znajdowało się tam słynne sanktuarium Matki Bożej Sokalskiej. Według kronik kościelnych w 1498 roku ze zgliszcz spalonego przez Tatarów miasteczka wydobyto nienaruszony płomieniami obraz, który od tego czasu zaczął cieszyć się coraz większym kultem. Ten XV-wieczny wizerunek spłonął w 1843 roku. Zastąpiono go wówczas malowaną na miedzianej blasze kopią. Cześć wizerunkowi Maryi oddawali królowie i możnowładcy zarówno katolicy, jak i prawosławni, m.in. Bohdan Chmielnicki. Od początku, sokalskim sanktuarium opiekowali się ojcowie bernardyni. Gdy po II wojnie musieli opuścić klasztor, zabrali ze sobą do Krakowa cudowny wizerunek Matki Bożej. Obecnie znajduje on w sanktuarium w Hrubieszowie.

Zdaniem konserwatorów zabytków poważnie zniszczony XVII-wieczny kościół w Żwirce był jeszcze do uratowania. Po długich staraniach lwowskiej kurii metropolitalnej Kościoła rzymskokatolickiego na Ukrainie oraz innych Kościołów chrześcijańskich i wyznań w sokalskim więzieniu utworzono duszpasterstwo. Dwa lata temu w okresie wielkanocnym arcybiskup lwowski Mieczysław Mokrzycki odwiedził zakład karny. Rozmawiał z władzami służby więziennej na temat remontu świątyni. Był pierwszym duszpasterzem w historii więzienia, który wszedł na oddział dla osób skazanych na dożywocie. Obecny wtedy na spotkaniu ówczesny dyrektor okręgowy więziennictwa gen. Wasyl Ilnyckij mówił, że nie wypada, aby klasztor i świątynia były miejscem przetrzymywania przestępców. „Niestety, nic nie zrobiono, aby zmienić tę sytuację oraz należycie zabezpieczyć zabytek przed pożarem. Dziś został on całkowicie zniszczony” – zaznaczył ks. Andrzej Miłułka.

W zakładzie karnym było osadzonych 612 osób, które po wybuchu pożaru zostały ewakuowane.

ISSN 1996-2304



9 771996 230009

www.kuriergalicyjski.com – internetowa gazeta codzienna

Kupując nasze pismo, wspomagasz słowo polskie na Wschodzie

Zebranie sprawozdawczo-wyborcze w TKPZL

JURIJ SMIRNOW
tekst i zdjęcia

W sobotę 17 marca 2012 roku na najważniejsze, wyborcze zebranie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej przybyło 596 jego członków. Przybyli również liczni goście i zaproszeni, wśród nich ojciec Władysław Lizun, proboszcz parafii św. Antoniego, przedstawiciele konsulatu generalnego RP we Lwowie – konsulowie Marian Orlikowski i Jacek Żur. Z Polski przyjechali Józef Bryl i Jerzy Smoliński – prezes i wiceprezes Stowarzyszenia „Polska-Wschód”, oraz pierwszy konsul RP we Lwowie Włodzimierz Woskowski. Obecni byli też dyrektor polskiej szkoły nr 10 we Lwowie – Marta Markunina, prezes Polskiego Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi – Jan Franczuk, Polskiego towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych – Mieczysław Maławski, prezes Uniwersytetu III Wieku – Ewelina Małanicz i przedstawiciele polskich mediów działających we Lwowie.

Przyjechali wszyscy prezesi oddziałów Towarzystwa z terenu województwa lwowskiego. Na wypełnioną po brzegi salę uroczyście wniesiono sztandar TKPZL i ustawiono na scenie, obok flag państwowych Polski i Ukrainy. Ojciec Władysław Lizun pobłogosławił zebranych. Minutą ciszy uczczono pamięć członków Towarzystwa zmarłych w ciągu ostatnich pięciu lat.

Słowo wstępne wygłosił prezes Emil Legowicz, po czym udekorował osoby szczególnie zasłużone dla rozwoju Towarzystwa – Józefa Bryla i Jana Sabadarza. Odczytał też liczne listy gratulacyjne, które nadeszły z okazji kolejnego zebrania sprawozdawczo-wyborczego.

Konsul KG RP we Lwowie Jacek Żur powiedział, że „walne zebranie – to święto dla Towarzystwa i każdego jego członka. Życzę pań-



Prezydium zebrania: (od lewej) Zbigniew Pakosz, Ewelina Małanicz, Emil Legowicz, Adam Aurzecki.

stwu, żeby obrady upłynęły w miłej atmosferze. TKPZL to najstarsza organizacja polska na Ziemi Lwowskiej. W okresie swego działania wykazała się krzewieniem polskiej kultury i sztuki, przywiązaniem do Polski, do Orła Białego, do naszych barw narodowych – czyli swoim patriotyzmem. Życzę państwu solidarności, wzywam do braterstwa, starajcie się działać w zgodzie, nie dopuszczajcie do rozłamów w swoich szeregach. Wizerunek Towarzystwa – to wizerunek każdego Polaka we Lwowie. Jedność – to najważniejsze. Praca z młodzieżą – to najważniejsze”.

Prezes Józef Bryl przeczytał list gratulacyjny w imieniu zarządu Stowarzyszenia „Polska-Wschód”: „Działajcie z pobudek patriotycznych i serca” – powiedział do zebranych.

Następnie ze sprawozdaniem o działalności TKPZL w latach 2007-2012 wystąpił prezes Emil Legowicz. W swoim obszernym wystąpieniu omówił różne strony działalności Towarzystwa, poruszył wielu tematów, które burzą społeczność polską Ziemi Lwowskiej. Powiedział między innymi: „W ciągu ostatnich pięciu lat mieliśmy zarówno wiele sukcesów jak i wiele niedopracowań. Nie wszystko udało się nam zrobić co planowaliśmy, co zamierzaliśmy. Jestem świadom tego, że ponoszę całkowitą odpowiedzialność również za błędy i niedociągnięcia. Z czasem zmieniają się również warunki naszej pracy na Ziemi Lwowskiej i we Lwowie. Powstają nowe polskie organizacje. Przy konsulacie generalnym istnieje dział do spraw polonijnych, który wziął na siebie znaczną

część prac przy organizacji wydarzeń kulturalnych. Nasze oddziały w terenie również przeżywają zmiany, mają teraz niezależność finansową. W takich warunkach najważniejszą jest koordynacja naszych działań, rozumienie jedności naszych intencji. Jestem przeciwny rozłamowi w naszych oddziałach terenowych, bowiem często chodzi nie o dobro zrzeszonych w nich Polaków, ale o niezaspokojone ambicje niektórych osób. Taka tendencja może być tragiczną dla rozwoju polskości w naszym regionie.

Naszą bolączką od lat jest sprawa Domu Polskiego we Lwowie. Nie zważając na ogromny wysiłek TKPZL i innych organizacji polskich, tego Domu nadal nie ma, a perspektywa jego otrzymania jest bardzo niepewna. Czuję też własną odpowiedzialność za ten stan rzeczy. Staramy się pielęgnować wieloletnie tradycje polskości na Ziemi Lwowskiej. W TKPZL rozwijają się zespoły artystyczne, bierzemy aktywny udział w festiwalach mniejszości narodowych, organizowanych przez władze miasta. Nasze zespoły artystyczne wyjeżdżają na występy gościnne do Kraju, my zaś przyjmujemy we Lwowie artystów z Polski. Bierzemy udział w ratowaniu grobów polskich na Cmentarzach Łyczakowskim i Janowskim. Organizujemy coroczne pielgrzymki członków Towarzystwa do Częstochowy, Krakowa i innych miejscowości a Kraju. Zarząd podtrzymuje działalność Uniwersytetu III Wieku, Stowarzyszenia Lekarzy Polskich i innych organizacji. Staramy się rozwijać oddziały naszej organizacji w terenie – powstały oddziały TKPZL w Turce i Brodach.

W Złoczowie, Samborze, Stryju działają Domy Polskie.

Staramy się, w miarę naszych skromnych możliwości finansowych, pomagać polskim grupom w przed-szkolach. W tej sprawie aktywnie działają Stanisław Maldziński i Zbigniew Pakosz. Teraz mamy jednak ogromny problem. W tych grupach jest tylko 10% polskich dzieci. Znacznie lepiej mają się sprawy w Łanowicach, gdzie działa polskie przedszkole i będzie też polska szkoła.

Przykro nam bardzo, że bez finansowego wsparcia z Polski upadła Gazeta Lwowska, tak zasłużona dla krzewienia i odrodzenia polskości we Lwowie i na Ziemi Lwowskiej. Jest to wielki cios dla całej naszej organizacji. Bolesnym problemem, jest też problem otrzymywania wiz. Polskie MSZ wprowadziło nowy system wydawania wiz dla członków Towarzystwa, dla Polaków, obywateli Ukrainy. Naszym zdaniem ten nowy system poniża naszą godność. Nie wszyscy członkowie Towarzystwa mają możliwość otrzymania Karty Polaka. Inni nie chcą, wyrażając tym samym protest, bo widzą, że Kartę Polaka otrzymują ludzie nie mający nic wspólnego z polskością i polskim pochodzeniem. Karta Polaka powinna być dla tych, kto sercem jest związany z Polską, a nie dla załatwiania interesów handlowych.

Musimy połączyć nasze prace na rzecz rozwoju polskości, naszej ojczystej kultury. Tylko silne Towarzystwo może przeżyć w tak trudnych czasach. Bez wspólnej pracy i solidarności nie możliwe jest odniesienie sukcesu.”

Zebrani wysłuchali również sprawozdania skarbnika TKPZL. Oba sprawozdania zatwierdzono. W debatach wystąpili Adam Aurzecki prezes Towarzystwa w Drohobyczu, Jan Tysson, członek Zarządu Głównego, Ewelina Małanicz, prezes Uniwersytetu III Wieku. Pani Małanicz powiedziała między innymi: „Widzę na sali dużo ludzi z naszego Uniwersytetu. Niestety mało jest młodzieży. UTW – to forma integracji ludzi starszego wieku. Jest nas około 170 osób. Działamy już regularnie siedemnasty rok. Nasz UTW przez lata był pierwszym i jedynym Uniwersytem takiego typu na Ukrainie. Teraz już są inne – we Lwowie, Kijowie. Działalność nasza byłaby znacznie intensywniejsza, gdyby był we Lwowie Dom Polski. Nas ta sprawa bardzo boli. Za zrozumienie naszych problemów oraz wspieranie we wszystkich naszych działaniach dziękuję bardzo dyrektor Marcie Markuninej i ojcu Władysławowi Lizunowi”.

W imieniu młodzieży głos zabrał Mikołaj Gyk z Dobromila. Po powiedział: „...często młodzież pol-



Podczas obrad

skiego pochodzenia myśli, że Towarzystwo jest dla ludzi starszych, ale nie dla młodzieży. To nie znaczy, że młodzież nie jest aktywna. Ma swoje ciekawe pomysły, swoje tematy i swoje problemy. Chcemy pracować w Towarzystwie, szukać wspólnej płaszczyzny z ludźmi starszego pokolenia". Ponadto było też kilka pytań do prezesa Legowicza. Dotyczyły one sprawy wydawania wiz i problemu z kościołem Marii Magdaleny. Prezes powiedział, że odpowiedź władz RP na list Towarzystwa nadeszła. Ale jest to odpowiedź formalna, w której odesłano nas do odpowiednich ustaw i paragrafów. Są tylko ogólne zachęcenia do współpracy, żadnych konkretnych zmian. Kościół Marii Magdaleny jest potrzebą wszystkich Polaków we Lwowie. „Ten kościół jest nasz i obiecuję zrobić wszystko, co do mnie należy dla jego odzyskania. Popieram wszystkie starania wiernych i innych organizacji we Lwowie idące w tym kierunku”.

Następnie przewodniczący komisji wyborczej Jan Kot poinformował zebranych, że komisja dostała tylko jedno pisemne zgłoszenie na stanowisko nowego prezesa TKPZL. Zgłosił się obecny prezes Emil Legowicz. Komisja uznała jego zgłoszenie za odpowiadające wszystkim wymogom statutowym. Wybory nowego prezesa przeprowadzono w głosowaniu jawnym. W jego wyniku 594 osoby przegłosowały „za” osobę Emila Legowicza, a dwie – wstrzymały się od głosu. Nowy prezes podziękował zebranych i przedstawił swoje propozycje co do 19 nowych członków Zarządu Głównego. Wybrano ich również w jawnym głosowaniu. Prezes zaproponował też by stworzyć Radę Prezesów Oddziałów TKPZL, której wcześniej w strukturach Towarzystwa nie było. Wybrano pięciu prezesów. Wybrano również nową komisję rewizyjną złożoną z pięciu osób. Komisja statutowa zaproponowała wcześniej kilka zmian do Statutu TKPZL. Po krótkiej dyskusji przyjęto trzy nowe zmiany statutowe.

Na tym zebraniu sprawozdawczo-wyborcze zakończyło swoje obrady. Członkowie Towarzystwa omawiali swoje sprawy jeszcze na ulicy. Posłuchałem niektórych z nich. Najbardziej ludzi bolała sprawa wydawania wiz, Karty Polaka oraz prac porządkowo-konserwatorskich na licznych polskich cmentarzach w terenie, z których część nadal pozostaje bez należytej opieki.

Osobiście dla mnie, bardzo miłym było spotkanie z prezesem oddziału TKPZL w Żółkwi, która przypominała mój przyjazd rok temu i reportaż w Kurierze Galicyjskim o uczczeniu 100-lecia Heleny Hawryluk (Krupy) jednej z najwierniejszych parafianek miejscowego kościoła rzymskokatolickiego. Prezentem dla mnie była wydana w 2012 roku książka ze wspomnieniami o tej niezwyklej osobie, patriotce, tak przywiązanej do swojej rodzinnej Ziemi Żółkiewskiej.

Czy Chiny będą dalej tak szybko się rozwijać?

JAN WLOBART tekst
www.businesstimes.pl
zdjęcie

Na to pytanie, zadane w tym roku mieszkańcom tego kraju, absolutna większość z nich odpowiedziała twierdząco. Chińczycy wierzą w to tym bardziej, gdyż rok 2012 jest dla nich Rokiem Smoka, który jest dla nich najważniejszym z symboli narodowych, z racji tego, iż uważają się za jego potomków.

Jednak nie symbolika ma tutaj decydujący wpływ na marzenia przeciętnego Chińczyka lecz rozbudzone nadzieje, spowodowane bardzo silnym wzrostem gospodarczym w ostatniej dekadzie. Wzrost gospodarczy i rozwój dużych aglomeracji spowodowały mechanizm pompy ssącej sięgającej do obszarów wiejskich w poszukiwaniu siły roboczej. Tym sposobem rozbudzone zostały ambicje chińskiej prowincji na awans ekonomiczno-społeczny, który ma miejsce. Kryzys ekonomiczny Zachodu wydaje się nie robić na nich wrażenia. Chińczycy źródła kryzysu na Zachodzie upatrują w przesadnie rozbudowanych świadczeniach socjalnych, choć nikt o tym głośno nie mówi. W strefie euro bezrobotni otrzymują miesięczne zasiłki, które są kilkukrotnie wyższe jak przychód roczny mieszkańca chińskiej wsi.



Rok 2012 jednak nie będzie tak pomyślny dla wielu z nich, chociażby ze względu na zmianę polityki banków, które w znacznym stopniu ograniczają kredytowanie w obawie o przegrzanie gospodarki i jej niewypłacalności. Efektem ubocznym tej polityki jest rynek pożyczek lichwiarskich, czego przykładem może być miasto Wenzhou (około 880 tys. mieszkańców) we wschodnich Chinach, gdzie wielu kredytobiorców po niemożności spłacenia kredytu, uciekało lub popełniało samobójstwo i w efekcie lokalny rynek kredytowy popadł w kryzys. Problemem jest nierównowaga w dystrybucji owoców wzrostu gospodarczego. Dysproporcje pomiędzy bogatymi a biednymi są coraz większe i wzbudzają niezadowolenie społeczeństwa. Budownictwo zaobserwowało spadek cen nieruchomości i deweloperzy zastanawiają się

kiedy pęknie bańka spekulacyjna na tym rynku. Dla przykładu mieszkańiec Pekinu, przy obecnych cenach na rynku budowlanym, może w ciągu roku zarobić na 1,5 m kwadratowego mieszkania. Inne uboczne efekty gwałtownego wzrostu – to degradacja środowiska naturalnego i zanieczyszczenie powietrza w dużych aglomeracjach ponad wszelkie normy. Władze chińskie bardzo niechętnie przyznają się do tego stanu rzeczy, nie publikując raportów o stanie środowiska. Przykładem degradacji środowiska może być odwoływanie w niektóre dni lotów z Szanghaju czy Pekinie ze względu na olbrzymie zapylenie powietrza.

Chiński model polityczny, niepowtarzalny i nieprzejrzysty, stanowi wielką zagadkę. Jego znaczenie oraz wpływ na gospodarkę jest niebagatelny. W tym roku na

jesieni odbędzie się XVIII Zjazd Komunistycznej Partii Chin [KPCh], na którym prawdopodobnie nastąpi zmiana pokoleniowa we władzy. Szeregowi członkowie partii nie mają żadnego pojęcia, a tym bardziej wpływu, na następujące zmiany we władzy. Jak wiadomo, gwałtowny wzrost gospodarczy powoduje wzrost znaczenia tego kraju w Azji i zmianę jego obecnej pozycji. System polityczny tego kraju nie jest ani kapitalizmem ani komunizmem, tak więc będzie on szukał spoiwa ideologicznego i być może będzie to nacjonalizm. Jednak taki rozwój sytuacji może ponownie zaożnaczyć sprawę Tajwanu, zbuntowanej prowincji, która samodzielnie bardzo dobrze rozwija się gospodarczo od 1949 roku. Na wspólną ideologię narodową nie brakuje też „księżycowych pomysłów”, jakie zaproponował sekretarz partii jednego z dużych chińskich miast. Jego pomysł – to reanimacja tak zwanej „czerwonej kultury” czasów Mao, czyli wspólne recytacje, śpiewy piosenek rewolucyjnych, praca studentów na wsi. Pomysły tego typu są jednak przyjmowane z politowaniem. Dalszy rozwój gospodarczy Chin uzależniony jest od modelu wzrostu, jaki zostanie przyjęty przez KPCh. Towar „made in China” – to towar z reguły niskiej jakości, a jego zbyt stanowi coraz większy problem. Tania siła robocza, przestaje być tania, rezerwy proste są na wyczerpaniu. Tak więc bez nowego modelu, stymulującego dalszy wzrost gospodarczy, Chińczyków czeka stagnacja, czego najbardziej się obawiają w roku 2012.

Podręczniki do polskiego. Po... 647 hrywien każdy!

19 marca br. Instytut Innowacyjnych Technologii Treści Oświaty Ministerstwa Edukacji Ukrainy zawarł serię umów na wydanie podręczników dla pierwszej klasy. Koszt zamówienia wynosi 61,13 mln hrywien – czytamy na portalu „Hawi rpowi” (Nasze pieniądze – tłum.).

Okazuje się, że najdroższe są podręczniki języka polskiego dla szkół z polskim językiem nauczania – 647 hrywien każdy. Podręczniki języka hiszpańskiego dla pierwszej klasy kosztują 518 hrywien za jeden egzemplarz. Najtańszym okazał się podręcznik z języka angielskiego dla szkół ogólnokształcących – 10,81 hrywien każdy.

Targi zostały przeprowadzone według procedury niekonkurencyjnej, polegającej na zakupie od „jednego uczestnika” ponieważ autorzy podręczników mają prawo samodzielnie określać wydawnictwo.

Podręczniki dla państwowego zamówienia wybrano według wniosku Ogólnoukraińskiego Konkursu Rękopisów. 23 grudnia 2011 r. Kolegium MONmolod'sportu wydało



postanowienie № 5/8-19 z listą podręczników, które otrzymały stempel „Ministerstwo Edukacji, Nauki, Młodzieży i Sportu Ukrainy poleca”.

Przypominamy, iż w końcu 2011 roku Izba Skarbu upubliczniła dane audytu efektywności wykorzystania funduszy budżetu państwa, które w latach 2010-2011 otrzymało Ministerstwo Edukacji na druk podręczników. Pismo „Tyżdeń” powiadamia, iż w ciągu dwóch lat Ministerstwo Edu-

kacji nieefektywnie wykorzystano 6,9 mln hrywien. A więc, wydawnictwa produkowały podręczniki i prowadziły zakup papieru według cen o 30%-40% wyższych od cen rynkowych.

Prócz tego, podkreśla się nieprzejrzystość przetargu na świadczenie usług poligraficznych. Zwycięzca, Sp. z o.o. „Pobutelektrotechnika”, okazał się faktycznie pośrednikiem, a nie wykonawcą zamówienia. Ministerstwo Edukacji nie sprawdziło

możliwości produkcyjne zwycięzcy przetargu, a więc po wydaniu 10 tytułów podręczników, na koncie przedsiębiorstwa zostało około 66%-84% otrzymanych funduszy, co też spowodowało dodatkowe wydatki z budżetu państwa o kwocie 5,9 mln. hrywien.

Nieprzejrzystym wydaje się również eliminacja konkursowa podręczników i podjęcie postanowień o ich wydaniu. Wydanie 24 podręczników, które nie zostały wystawione na konkurs lub nie zwyciężyły, odbyło się z naruszeniem czynnego ustawodawstwa. Wykorzystano 30,9 mln. hrywien. Jednocześnie, w 2010 r. nie wydano 20 tytułów podręczników, które zwyciężyły, a 2011 roku – 50.

W służbie prasowej Urzędu Skarbowego podkreślili, że jeśliby pieniądze były efektywnie wykorzystywane, udało by się wydać więcej książek.

źródło: ridna.ua
Fot. www.podreczniki-nauka.
hiperogloszenia.pl

WĘDRÓWKA W ŚWIAT DAWNEJ ARKADII

Polskie zamki i pałace na Ukrainie. I co z nich zostało

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI,
SABINA RÓŻYCKA tekst
JURIJ SMIRNOW zdjęcia

Taką wspaniałą wędrówkę proponuje swoim czytelnikom Dmytro Antoniuk, dziennikarz z Kijowa i współpracownik „Kuriera Galicyjskiego”, prawie od początku jego istnienia. Dmytro to pasjonat „tajemniczej architektury” – bo tak można faktycznie określić resztki zamków, rezydencji, pałaców i dworców, które rozrzucone są po całej lewobrzeżnej Ukrainie, po terenach które stanowiły niegdyś ziemię I Rzeczypospolitej. Jeszcze w XIX wieku, pod zaborem rosyjskim, duża część majątków ziemskich należała tu do Polaków. Dziś ich pozostałości, można nazwać „tajemniczą architekturą”, ponieważ niestety niewielu ludzi orientuje się w bogactwie tych obiektów, w ich lokalizacji, historii i stanie obecnym. Poza kilkoma „oklepanymi” zamkami i rezydencjami, leżącymi na trasach turystycznych i odwiedzanych masowo przez turystów z Polski, reszta pozostaje w cieniu. Brak dróg i rozwiniętej infrastruktury, a również skąpe wzmianki historyczne o poszczególnych obiektach i ich właścicielach, sprawiają, że obiekty te nie są odwiedzane. Zapomniane, pozostawione same sobie lub nie zawsze „jawnym” właścicielom niszczone, rozpadają się, płoną i są rozbiierane na budulec. Władze centralne i lokalne nie zawsze są zainteresowane ich konserwacją czy chociażby zabezpieczeniem ich stanu.

Publikacja Dmytra Antoniuka wiedzy czytelnika po tej terra incognita. Jednocześnie przywołuje pamięć o dawnych budowlach i wydobywa je z zapomnienia, dając im tym samym drugą szansę na zaistnienie. W chwili wydania gazety trwa jeszcze objazd autora po miastach Ukrainy z prezentacją swego wydania. Przed Lwowem



Dmytro Antoniuk wpisuje dedykacje

kawy i już mieli wychodzić, gdy po pierwszych zdaniach prezentacji zostali przy stolikach i chyba tego nie żalowali, a po prezentacji ustawiali się w „ogonku” by kupić oba tomy publikacji. Celowo unikam słowa „przewodnik”. Sam autor mówi, że nie chce tak nazywać jego dzieła. W klasycznych przewodnikach jest wiele historii, opisów architektonicznych, danych o właścicielach. Ta publikacja jest złożona bardziej pod kątem ciekawych wydarzeń, wypadków, przegód samego autora przy odkrywaniu tego zanikającego piękna.

470 obiektów historycznych, za którymi kryją się ich historie, historie ich właścicieli, legendy z nimi związane, zawarte są w tych dwu tomach.

ty polskiej architektury obronnej i rezydencji od okresu Średniowiecza po drugą połowę XVIII wieku. Drugi tom poświęcony jest zabytkom okresu klasycyzmu i późniejszego aż do początku I wojny światowej.

Niektóre można nawet kupić. Dmytro podał tu przykład pałacu w miejscowości Kudryjowce w województwie Chmielnickim, w dobrym stanie, w którym do niedawna mieściła się wiejska szkoła, wystawionym na sprzedaż za... 50 tys. hrywien za całość.

W chwili obecnej, zgodnie z ustawodawstwem Ukrainy sprzedawać i dzierżawić można te obiekty, które nie są na liście zabytków architektury. Gdzie dziś jest najwięcej dawnych polskich rezydencji i zamków na



odwiedził już Winnicę, Kamieniec Podolski, Tarnopol i Iwano-Frankowsk. W tym ostatnim, w lokalu o słodkiej nazwie „Marmulada” zebrali się głównie dziennikarze i studenci.

Prezentacja książki we Lwowie odbyła się 22 marca br. w kawiarni „Dzyga”, gdzie w salce na pięterku zebrano się około 40 osób. Głównie byli to lwowscy przewodnicy wycieczek, osoby zainteresowane historią, ale i przypadkowi bywalcy kawiarni. Część przyszła trzymając w rękach „Kuriera Galicyjski” z anonsem o mającej odbyć się prezentacji. Ci ostatni nęprędko kończyli konsumpcję, picie

Chyba nawet w Polsce nie wszyscy orientują się w ilości tych zabytków na terenach Ukrainy. A wszystkie te obiekty są niemymi świadkami „bardzo ciekawej historii polsko-ukraińskich stosunków, w których było wiele zarówno jasnych, jak i ciemnych stron, ale wszystkie one zasługują, aby o nich pamiętać” – mówił podczas prezentacji sam autor.

Publikacja „Polskie zamki i rezydencje na Ukrainie” ukazała się dzięki wsparciu Instytutu Polskiego w Kijowie w kijowskim wydawnictwie „Grani-T” w 2012 roku. W pierwszym tomie zgromadzone są obiek-

Ukrainie? Wcale nie na zachodzie, jak zwykle się uważa. Palmę pierwszeństwa dzierży tu województwo chmielnickie, potem winnickie. Dopiero na trzecim miejscu jest Ziemia Lwowska. Na czwartym jest Ziemia Tarnopolska. I tu, dzięki stworzeniu państwowego „rezerwatu” z centrum w Zbarażu, pod nazwą „Zamki Tarnopolszczyzny” sytuacja z ochroną zabytków wygląda najlepiej. Większość jednak polskich rezydencji na Ukrainie została zniszczona w czasie obu wojen światowych i za „władzy sowieckiej”. To co pozostało odkrywa dla nas Dmytro Antoniuk.

„Za wasze i nasze majątki”

rozmowa z DMYTREM ANTONIUKIEM.

Lwów. Ciepły, choć mroźny wieczór. Prezentacja lwowska skończona. W „Dzydze” rozpoczął już się koncert, uciekliśmy więc niedaleko, do jednej z wielu nastrojowych knajpek przy ulicy Ormiańskiej. Przy zaciśniętym stoliku Dmytro Antoniuk, Krzysztof Szymański i Mirosław Rowicki, zwany powszechnie, jak sam żartuje Marcinem Romerem. Czekają nas jeszcze nagrania do warszawskiego Radia WNET. Pytają mnie często skąd ta moja pasja – mówi Dmytro – czy może moje pochodzenie? A ja wcale nie jestem Polakiem. Mam nieco krwi polskiej po babci, połowę rosyjskiej. Jestem Ukraińcem. Języka polskiego nauczyłem się już jako osoba dorosła. Ale zawsze fascynowała mnie dawna Rzeczpospolita i mam wielki szacunek do współczesnej Polski. To najlepszy przyjaciel Ukrainy.

Dmytrze, czy pamiętasz swój pierwszy zamek, który zobaczyłeś i kiedy to było?

żalem sobie, że jestem Wołodyjowskim. Interesowało mnie wszystko, co było związane z bitwami, bataliami, zdobywaniem zamków i ich obroną, z kozakami i husarią. Z czasem przerosło to w moją pasję do tej architektury.

Czy spodziewałeś się na początku, że tych obiektów będzie aż tyle?

Nie spodziewałem się. Ale była to dla mnie przyjemna niespodzianka, że jest ich aż tyle. Przykro tylko patrzeć na obecny stan większości tych zabytków.

Skąd brałeś początkowe wiadomości o obiektach, miejscowościach, czy warto tam jechać?

Oczywiście, musiałem się przygotować do każdego wyjazdu. Dużo wiadomości czerpałem z pracy Romana Aftanazego, współczesnych polskich przewodników Zbigniewa Hausera i Grzegorza Rankowskiego. Wiele informacji uzyskiwałem od miejscowych krajoznawców. Zawsze przed wyjazdem telefonowałem do kogoś z tej okolicy i pytałem czy obiekt istnieje.



Był to zamek-klasztór w miejscowości Berdyczów. Miałem wtedy 16 lat. Można powiedzieć, że było to mój pierwszy zamek, który zrobił na mnie wrażenie i pewnie stąd ta pasja.

470 zamków, dworów, pałaców – ile lat zbierałeś materiały do tej publikacji?

Zaczęłem gromadzić materiały gdzieś od 1992 roku, z niektórych, ciekawszych, powstawały artykuły – w tym i do Kuriera Galicyjskiego. I tak powoli gromadzone materiały pozwoliły na wydanie tych książek. Sama praca nad przygotowaniem do druku trwała przez dwa i pół roku.

Co sprawiło, że zainteresowałeś się tymi, w wielu przypadkach, ruinami?

Zawsze byłem romantykiem, chłopakiem, którego porywała romantyka ruin, zamków, pałaców. Pasjonowały mnie powieści Sienkiewicza. Wyobra-

Czy masz do któregoś z tych obiektów szczególny sentyment?

(Śmiejąc się) To trudne pytanie, na które praktycznie nie ma odpowiedzi. Jest tak wiele obiektów, że nie sposób wydzielić jakiegoś szczególnie. Każdy z nich sprawił na mnie wielkie wrażenie. Nawet takie, które są obecnie w stanie całkowitej ruiny i możliwe, że nie przetrwają najbliższych kilku lat.

Czy przyjemnie było bawić się w odkrywcę?

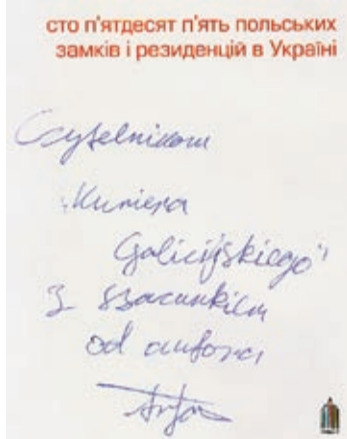
Były to najprzyjemniejsze chwile. Szczególnie, gdy niespodziewanie odkrywałem coś, o czym nigdzie nie ma żadnej wzmianki. Tak na przykład jak było w Manikowcach w Chmielnickim, niedaleko Jarmoliniec. Jest tam wspaniały pałac z XIX wieku, w którym mieściła się szkoła.

Twój przewodnik jest pełen opowieści i legend związanych z każdym obiektem. Skąd czerpałeś te wiadomości?

Każdą wiadomość starałem się pozyskać gdzie się tylko dało. Wiele ciekawego dowiedziałem się od miejscowej ludności, od krajoznawców, ze starych źródeł, np. przewodników Mieczysława Orłowicza.

Jak wyglądały Twoje spotkania z miejscową ludnością?

Różnie to bywało. Raz udawałem fotografa, szukającego plenerów do zdjęć ślubnych. Inny razem poszczużono mnie psami, bo w obiekcie mieściła się prywatna masarnia.



Dedykacja od Dmytra Antoniuka: Czytelnikom „Kuriera Galicyjskiego” z szacunkiem od autora

Ale miejscowi ludzie spotykali mnie najczęściej z ciekawością i sympatią. Pytali co tu robię, dlaczego fotografuję, bo nigdy tu nikogo nie było. Gdy mówiłem im, że zbieram materiały o zamkach polskich, to przyjmowano mnie serdecznie i otwarcie.

Czy nie dziwili się, że są to obiekty wybudowane przez Polaków?

Czasami wiedzieli o tym. Czasami mówili, że są to zamki ukraińskie. Dlatego w przedmowie do drugiego

tomu umieściłem taki tytuł „Za wasze i nasze majątki”, bo uważam, że te obiekty powstały za polskie pieniądze na terenie Ukrainy i dlatego te rezydencje uważam za nasz wspólny dorobek historyczny. Stąd właśnie i wypływa cały sens nazwy tego wydania: „Polskie zamki i rezydencje na Ukrainie”. Jak już wspominałem nie jestem Polakiem, ale jestem miłośnikiem kultury, języka, kościoła, architektury polskiej. Mamy wspólną historię, nie zważając na momenty tragiczne.

Na prezentacji wspominałeś, że masz już informacje o kolejnych obiektach. Czy ukaze się trzeci tom?

Teraz trudno mi o tym mówić (ze śmiechem). Teraz mam cykl prezentacji po wydaniu książki w różnych miastach Ukrainy. Potem trochę chcę odpocząć. Nie wiem jeszcze czy będzie tom trzeci, ale mam plany kolejnej książki o klasztorach rzymskokatolickich na terenie współczesnej Ukrainy. Jest to też olbrzymi materiał.

Jak oceniasz dotychczasowe prezentacje?

Jestem bardzo zadowolony ze wszystkich spotkań z czytelnikami moich książek. Atmosfera wszędzie panowała wspaniała. Dzisiejsza prezentacja we Lwowie bardzo mnie ucieszyła, jestem zadowolony z pytań, które mi zadawano. Świadczy to, że ludzie interesują się tym tematem i że sprawa ich poruszyła. To właśnie mnie, jak autora, ucieszyło.

Czy planuje pan przekład książki na język polski? Czy miał pan już może oferty z Polski?

Na razie miałem tylko pytania od słuchaczy i czytelników na ten temat. Nie miałem na razie żadnych ofert z Polski na moją publikację. Ale jeżeli by była taka możliwość, to bardzo byłbym zainteresowany. Bardzo by było mi miło, gdyby moje książki zyskały więcej czytelników.

HOMER HUCULSZCZYŃNY

Uroki huculskiego świata, zapach smerekowego lasu, głosy owczych stad, huculskie bajki, przypowieści i legendy, gdzie nawet Bóg i Arydnyk (diabeł) razem uzgadniają różne, całkiem przyziemne i codzienne sprawy – wszystko to możemy dotknąć, powąchać i posłuchać czytając „Na wysokiej połoninie” Stanisława Vincenza. Oryginalna nazwa pierwszego tomu w przekładzie Tarasa Prochaśki to „Prawda staro-wieku”. Przeplata się tu kronika z mitologią, etnologia z poezją i prozą. Polski pisarz, urodzony w Swobodzie Ranguskiej był na tyle bliskim mieszkańcom gór, że tak dokładnie przekazał ich życie, jak nikt inny. Do słownych obrazów dodał on własne, przepełnione intelektualnym bogactwem, które daje kultura europejska i własne rozważania.

(notatki z prezentacji książki Stanisława Vincenza „Na wysokiej połoninie” w przekładzie Tarasa Prochaśki)

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcie



Taras Prochaśko

Powieść z życia Huculów powstała w języku polskim. Na język ukraiński książka była już tłumaczona w czasach władzy radzieckiej. Kolejny przekład został zaprezentowany w iwano-frankowskim centrum kultury i sztuki „JE”. Tłumaczem Vincenza stał się tym razem znany w Europie i na Ukrainie pisarz, filozof, tłumacz z polskiego Taras Prochaśko, który, jak i Vincenz, urodził się na Huculszczyźnie, w miejscowości Delatyn. Dlatego język i wszystko, co opisuje Vincenz jest dla niego bliskim, wpojonym w jego ciało i duszę jeszcze w dzieciństwie.

Przepełniona sala ledwo pomieściła studentów, znanych pisarzy, naukowców, artystów, muzyków, etnologów, działaczy społecznych, przedstawicieli prasy, którzy przyszli zanurzyć się w cudowny świat Huculszczyzny Vincenza. W tle pobrzmiwały cymbały tworząc niepowtarzalny nastrój.

„Nie wiem, czy ten przekład w ogóle by się ukazał, gdyby nie pani profesor Aleksandra Hnatiuk, – opowiada Taras Prochaśko. – To właśnie ona zaproponowała mi by wziąć się za Vincenza. Jestem jej za to bardzo wdzięczny”. Pracował nad przekładem Prochaśko przez cały rok. „Język polski Vincenza jest trudny, – przyznaje się, – przeczytać ją, nawet znając język, jest trudno. Książkę tą można porównać do górskich dróg, połonin – nie jest ani lakierowana, ani „asfaltowana”, nie ma w niej żadnych drogowskazów. I dlatego właśnie jest prawdziwa. Na początek przekładałem po prostu na język ukraiński, dopiero potem mogłem używać słów huculskich, które są okrasą dzieła. Sam Vincenz – na odwrot – pisał ją po huculsku, a dopiero potem wprowadzał polski język literacki. Ten przekład jest swoistym odbiciem lustrzanym odbicia”.

Przekłady tego utworu istnieją już na Ukrainie. Powstały one w latach 1950 – na początku 60. Taras Prochaśko przed podjęciem pracy ich nie czytał. Zrobił to specjalnie, po to by jego przekład był oryginalny i niczym nie zaśmiecony. Pisarzowi z Przykarpacia to się udało. „Na tyle pokochałem Vincenza za jego utwory, że pojawienie się tej książki jest dla mnie ważniejsze, niż moje własne publikacje” – podsumowuje pisarz. Co może

dać nowy przekład? Po prawdzie – nic nowego! Ale są takie rzeczy, o których trzeba człowiekowi przypominać. Jak, na przykład, codzienna modlitwa. Tak i ta książka jest takim codziennym przypomnieniem o zwyczajnym życiu, codziennym przypomnieniem o rzeczach ważnych, ale obecnie mało niezauważalnych.

„Gdy starałam się redagować przekład Tarasa, – mówi Halina Petrosianiak, – ogarniało mnie uczucie zdumienia jak zmaleli dzisiejsi ludzie i jednocześnie porażała mnie duchowa siła ludzi, opisywanych przez Vincenza. Mieli nieproste życie, ciężkie warunki, ale zawsze pozostawali godnymi. Ludzie ze stron książki Vincenza promieniują najlepszymi ludzkimi rysami. Nikt nie uskarża się na życie, nie płacze i nie skamle. Góry nie cierpią łez. Góry rodzą, wzrastają i przyjmują w łono skapej na urodzaj ziemi tylko wytrwałych, silnych, męźnych, sprawiedliwych i szlachetnych. Takich, którzy sami podobni są do gór – takich jak kamień, takich jak mur”.

Żał, że teraz na Huculszczyźnie wszystko wygląda inaczej. W czasach sowieckich Huculi stali się najbardziej pokornymi ze wszystkich etnicznych grup na Ukrainie. Dziś, potomkowie dumnych gazdów zmuszeni są do zarobkowania na chleb na obczyźnie. Oderwani są od gór, od duszy i życia ich staje się „nade-rwanym”.

Niegdyś Huculia była dla górali centrum Wszechświata. Poza nią było niewiele. Tak miejscowi, według Vincenza, wierzyli, że gdzieś bardzo daleko jest Rzym, a tam dobry staruszek papież, że jest Wiedeń z jego cesarzem. Jest on nieszczęśliwy, bo nie może pozwolić sobie na nic ludzkiego i prawdy o świecie nikt mu nie podaje. Jest jeszcze rzeka Dunaj,

ale gdzie ona przepływa – nikt nie wiedział. Jest państwo ludożerców, gdzie straszni ludzie jedzą surowe mięso. Mieszkają oni gdzieś daleko na północy. Tak sobie wyobrażali górale Rosjan. A na końcu świata – rachmani, Bosczy ludzie. Dla nich po Wielkanocy rzeką puszczano skorupki z pisanek, żeby widzieli oni, że świat jeszcze istnieje i nie nadeszła jeszcze Apokalipsa...

Przed przystąpieniem do przekładu Taras Prochaśko dużo czytał o Stanisławie Vincenzie i starał się dowiedzieć się o nim jak najwięcej o pisarzu, który wyrósł na Huculszczyźnie i mówił językiem Huculów. Jako dziecko niańka-Huculka uczyła go języka, piosenek, kołomyjek. Był zarazem nosicielem wielkiej europejskiej kultury. Otrzymał wspaniałe wykształcenie i na tyle żył się z Ukraińcami - Rusinami, że w 1918 roku nie chciał walczyć przeciwko nim. Dopiero w 1920 roku wstąpił do Wojska Polskiego by wziąć udział w wyprawie na Kijów, we wspólnej walce przeciwko bolszewikom. We wsi Bystrec zbudował chatę huculską. Przyjeżdżało tam wielu europejczyków, którzy dzięki polskiemu pisarzowi odkrywali dla siebie Karpaty. W 1939 roku został aresztowany przez bolszewików. Wstawili się za nim jednak znani kijowscy pisarze. Po-tem Vincenz przez „zieloną granicę” przedostał się na Węgry. Będąc tam pomagał w ratowaniu Żydów. Wiązała go z nimi dawna przyjaźń z dzieciństwa. Otrzymał za to honorowy tytuł „Sprawiedliwy wśród narodów świata”. Powieść „Na wysokiej połoninie”, nie kuszony powabami świata zachodniego, napisał w Szwajcarii. Przypomniał sobie wszystko to o czym marzył, gdzie chciał być i z czym powiązał go los i Bóg.

PL-BY-UA
2007-2013

Представництво Спільного технічного секретаріату (СТС) у Львові
запрошує на 2-ий раунд інформаційних семінарів III конкурсного набору в рамках Програми транскордонного співробітництва Польща-Білорусь-Україна 2007-2013 відповідно до наступного графіку:

Ужгород – 18 квітня 2012 року, приміщення Закарпатської обласної державної адміністрації, 88008, м. Ужгород, Народна пл., 4;
Івано-Франківськ – 19 квітня 2012 року, приміщення Івано-Франківської обласної державної адміністрації, 76004, м. Івано-Франківськ, вул. Грушевського 21;
Львів – 20 квітня 2012 року, приміщення Львівської обласної державної адміністрації, 79008, м. Львів, вул. Винниченка, 18;
Луцьк – 24 квітня 2012 року, приміщення Волинської обласної державної адміністрації, 43027, м. Луцьк, Київський Майдан, 9;
Рівне – 25 квітня 2012 року, приміщення Рівненської обласної державної адміністрації, 33000, м. Рівне, вул. Симона Петлюри, 35.
Тернопіль – 26 квітня 2012 року, приміщення Тернопільської обласної державної адміністрації, 46021, м. Тернопіль, вул. Грушевського, 8;

Реєстрація учасників семінарів – до 17 квітня 2012 року
Початок семінарів – 10.00 м.ч.
Реєстраційна форма семінарів розміщені на офіційному сайті Програми – www.pl-by-ua.eu
Попередня реєстрація для участі у семінарах є обов'язковою. У випадку будь-яких змін щодо графіку та місць проведення семінарів СТС повідомить про це на веб-сайті Програми.
Детальнішу інформацію про набір проектів та пакет applicaційних документів можна отримати в офісі Спільного Технічного Секретаріату Програми транскордонного співробітництва Польща-Білорусь-Україна 2007-2013, у Представництві СТС у Львові, а також на інтернет-сторінці Програми www.pl-by-ua.eu

Kopalnia kawy pod Pałacem Lubomirskich

Jako student Jurko Kulczycki zgłębiał sprawę górniczą, łacinę i grekę, nauki przyrodnicze w lwowskiej bur- sie. W czasie wolnym chodził pomagać lwowskim alchemikom. Materiału do badań dostarczali mu koledzy. Wśród nich trafiała się i kawa – nieociosana i niejasna substancja, którą przyjmowano jako odpady.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

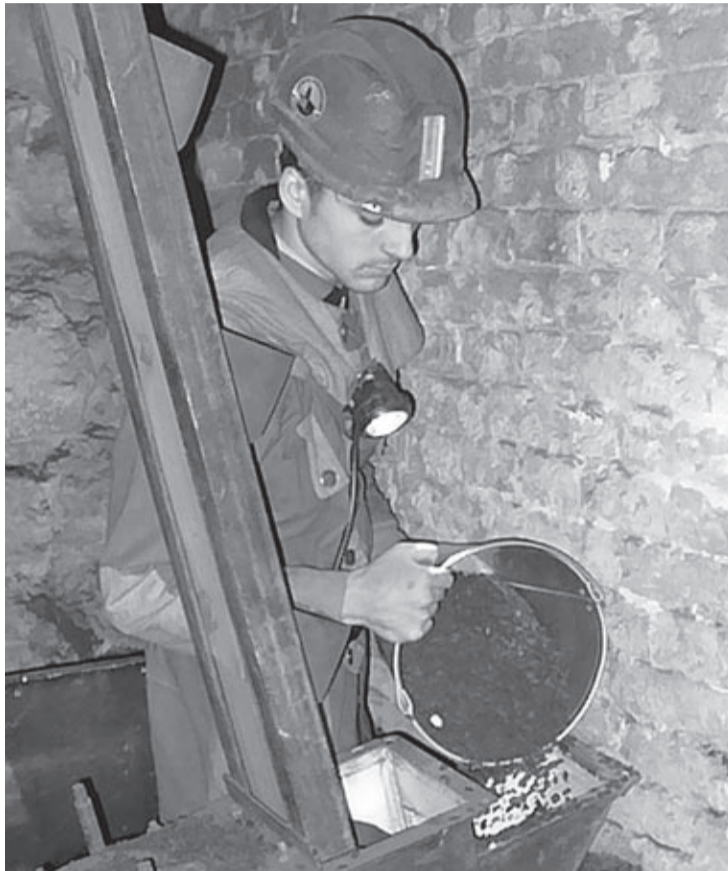
Na parterze słynnej kamienicy na rogu Rynku i ul. Ruskiej we Lwowie, czyli dawnego Pałacu Lubomirskich, przed długie lata znajdowała się księgarnia naukowa, potem sprzedawano komputery, następnie upominki, jednak nigdy nie było w środku tylu ludzi, jak po niedawnym otwarciu tam kawiarni pod nazwą „Lwowska kopalnia kawy”. Od symptomów ciekawości do oznak lekkiego szoku można było zauważyć na twarzach licznych gości, zwiedzających ten lokal. Nawet Ślązaków, obeznanych z kopalniami, których niedawno oprowadzałem po mieście, zaskoczyło, gdy po zejściu z sali do piwnicy kelnerzy w strojach górniczych zaproponowali im by też założyli górnicze hełmy z latarką. Bo jak inaczej iść dalej, do ciemnej sztolni, skąd słychać było szum wagoników, odgłosy pneumatycznego młota i oskarda oraz jazgot transportera, który jak zauważyli jeszcze wcześniej wynosił na górę ziarna prawdziwej kawy. Obok podziemnej pracowni, w ciemnych jaskiniach zauważyliśmy też stoiska barmanów, zapraszających by skosztować tego czy innego gatunku kawy. Prawie każdy z nich pyta, czy słyszeliśmy coś o Kulczyckim. No, tak. Nawet widzieliśmy jego wielki portret przed zejściem do piwnicy. Tutaj wszędzie panuje kult tego szlachcica z Kulczyc koło Sambora. „Górnik kawowy”, młody chłopak, który nas oprowadza przekonuje, że jego opowieść o lwowskich złożach kawy, jest prawdą. W stosunku do niektórych gości to się nawet udaje.

Tajemnica lwowskiej kawomanii (opowieść przewodnika dla turystów)

Rok 1652 jest początkiem drogi wielkiego kawomana i przedsiębiorcy, osoby, która przyczyniła się do gastronomicznego przewrotu w świecie – Jurka Kulczyckiego.

Pewnego razu Jurko doprowadził kawę do stanu gorącego kawowego napoju i cichcem rozesłał jego próbkę po Lwowie. Spróbował go nawet sam burmistrz. Jak każda nowość sprawa spotkała się ze słowami zachwyty i krytyki. Ale burmistrzowi podobala się kawa i uchwalił początek wydobycia kawy na lwowskim Rynku. Jurko Kulczycki otrzymał patent i rozpoczął produkcję. W taki sposób w głębokich lwowskich piwnicach zaczęto odkrywać pierwsze sztolnie kawowe, wynaleziono kawowy wyciąg, koła obrotowe dla wagoników, opracowano nowy system smażenia kawy. Z czasem pojawiły się pierwsze systemy bezpieczeństwa kopalni i umocnienia sztolni.

I tu się zaczęło! Początkowo towar zbywano do Iranu, Persji, Indii i Turcji, bo te państwa (jak i Lwów



Lwowska kopalnia kawy pracuje pełną parą

dziś) nie trafiły do Unii Europejskiej. Turcy nie na żarty zainteresowali się nowym produktem i chcieli zawiązać nim. Teraz rozumiemy, że pierwsza turecko-lwowska wojna była nie o tereny, a o bogactwa naturalne. Do dziś historycy nie znają jaka była przyczyna pierwszej wyprawy w 1675 roku 120 tysięcznej armii tureckiej i oblężenie przez nią kawowej stolicy świata. Oblężenie trwało miesiące. Turcy bardzo chcieli zawiązać kawą i to właśnie przyniosło ich do Lwowa.

Lwów został zmuszony pójść na ustępstwa i wykonać warunki Turków: dać 120 wozów kawy i głównego menadżera produkcji kawy. Magistrat oddelegował Kulczyckiego. Tak trafił on do niewoli tureckiej. Ale strategiczne obiekty wydobycia kawy były dobrze ukryte pod budynkami miasta. Istniał tzn. Tajny Kawowy Klub, członkami którego byli szacowni obywatele miasta, którzy płacili składki na rozwój przemysłu kawowego i opłacali rentę królowi.

W Turcji Jurko zaczął pracować jako tłumacz dla Akermańskiego oddziału wiedeńskiej Wschodniej Kompanii Handlowej. Zarobił tam sporo i mógł otworzyć własną kompanię handlową we Wiedniu. Przeniósł się tam, bo był obrażony na lwowski magistrat, że oddał go Turkom. Przewidywał dobrze przyszłość i problematykę wejścia do UE. Europa rozwijała demokrację, i tak samo uczynił Kulczycki, uczyniwszy z picia kawy proces demokratyczny, otwarty dla społeczeństwa i ludzi.

Proces transport kawy do Wiednia to była zwykła kontrabanda (operacja „Kawa ze Lwowa”). Z czasem moda na kawę objęła całą Europę. Potajemnie w 1689 roku zapoczątkowano dostawy kawy z Rzeczy-
spolitej do Stolicy Apostolskiej. Podpisaniem „Kawowej Ugody” przypieczęto światowy kawowy pokój. Pić było lekko. Lwów legalnie zaczął rozsyłać kawę na cały świat.

Razem z rozbiorami Rzeczypospolitej wiedeńska władza pragnęła przywłaszczyć przemysł kawowy i nadała kopalniom swe imię – „Pierwsza kawowa kopalnia im. Franciszka Józefa”. Kawę zaczęto zakazywać i wyprowadzono ją z napoi elitarnych, szczególnie w związku z wielkim popytem w kręgach masonów. Gdy zaczęto prześladować masonów zaczęto prześladować i kawę.

W czasie Wiosny Ludów w 1848 roku we Lwowie obok hasła wolności brzmiało hasło „Wolną kawę wolnym ludziom” Ukraińcy, wspólnie z takimi organizacjami konspiracyjnymi jak „Rusalka Dniestrowa” i „Ruska Trójca”, zorganizowali organizację „Wspólna Kawa”.

W 1868 roku została założona na Galicji towarzystwo „Proswita” (Oświata), które z braku pomieszczeń i finansów opierało się na przemysle kawowym. Wszystkie koszty z nielegalnego handlu kawą szły na finansowanie towarzystwa. Produkt był dla niepoznaki rozsyłany w opakowaniach przypominających książki o różnej gramaturze („Testament” Szewczenki ważył 200 gr., tomik Franki – 150 gr., a rocznik „Naszej Chaty” – 300 gr). Z czasem „Proswita” wykupiła pałac Lubomirskich i odtąd miała pełną kontrolę nad wydobyciem, smażeniem, fasowaniem i dystrybucją kawy.

W 1937 roku na reklamie kawy była oparta działalność agencji reklamy Romana Szuchewycza „Fama”. Obok „Kaliny i pasty „Elegant” opracowano reklamę kawy „Radykalna”. Koszty z tej działal-

ności szły na finansowanie ruchu nacjonalistów ukraińskich. Właśnie z balkonu pałacu Lubomirskich w 1941 roku Jarosław Stecko ogłosił Akt odnowienia państwa ukraińskiego, tekst którego przygotowali wspólnie z Kubijowiczem popijając kawę „Poranek Ukrainy”, później „Steckowa Kawa”.

W czasach sowieckich kawa, jak wszystko co dobre we Lwowie, została poddana represjom. Została wykreślona lub zamieniona na niskojakościowe gatunki z Brazylii, Afryki czy Indii oraz niektórych województw Tadżykistanu, bądź na jęczmień i hreczkę. Tylko dzięki dysydentom przetrwało wydobycie oraz dawne recepty parzenia. Tak kawę we Lwowie zaniedbano w czasach ZSRS. Niszczono też i pomieszczenie kopalni.

Zaczynając z 1991 roku „Lwowska Kopalnia Kawy” wznowiła swą działalność i wydobycie.

Zamiast wyjaśnienia

Rozmowa z Jurkiem Nazarukiem, pomysłodawcą oraz współwłaścicielem „Lwowskiej kopalni kawy” oraz innych popularnych kawiarni, takich jak „Naftowa lampa”, „Kryjówka”, „Dom legend”, „Mazoch kafe”...



Jurij Nazaruk – współwłaściciel „kopalni”

Jurek Nazaruk to młody, kreatywny biznesmen, który razem ze swoimi partnerami śmiało wciela jeden za drugim swoje niestandardowe projekty. W oryginalny i czasem w niezwykły sposób promuje miejscowy lwowsko-galicyjski patriotyzm.

„Naprawdę wszyscy kojarzą Lwów z kawą, w odróżnieniu od Włoch, Kolumbii czy innych krajów – mówi Jurko. – Kawa we Lwowie jest i tyle. Postanowiliśmy pokazać, skąd bierze się ta kawa. Ponieważ uważa się, że kawa i Lwów to są rzeczy nierozdzielne, pokazaliśmy kawę jako część Lwowa. Kawa we

Lwowie to jest bogactwo naturalne. Podobnie jak węgiel czy naftę, po prostu się ją wydobywa. Stworzyliśmy kopalnię kawy i pokazaliśmy, jak ta kawa trafia spod Rynku do filiżanek zwiedzających. Jest realna kopalnia, która pracuje już od XVII wieku, i ten Jurij Kulczycki, o którym mówi się, że on niby otwierał pierwsze kawiarnie, a naprawdę właśnie on był tym pierwszym, kto znalazł te złoża kawy we Lwowie. Nasza kopalnia pracuje w formie otwartego muzeum, gdzie można zobaczyć, jak kawa jest wydobywana. Tu można zobaczyć historię tego domu, dowiedzieć się o wszystkim, co tu się działo. Tu kiedyś było Ukraińskie Naukowe Towarzystwo im. Szewczenki. Ostatnio był sklep z komputerami. Piwnice mają około 300 metrów kwadratowych. Po raz pierwszy stały się teraz dostępne publicznie, tak samo parter. Bardzo długo trwała renowacja pomieszczeń. W „Lwowskiej kopalni kawy” pracuje teraz ok 50 osób. Ustawiono tu urządzenie i sprzęt kopalniany, które kupowaliśmy w kopalniach”.

Czy nie jest za ciasno jest Jurkowi Nazarukowi w granicach Lwowskiej Starej?

Miałem wiele propozycji ze wschodu Ukrainy, skąd przyjeżdża-

ją do Lwowa turyści, aby zwiedzać jego bajeczne knajpy. Jednak lwo-wiak patrzy na Zachód.

„Właśnie w tym roku otworzyliśmy w centrum Krakowa, na ulicy Szewskiej, opodal krakowskiego Rynku, „Lwowską pracownię czekolady” – powiedział Jurek Kurierowi Galicyjskiemu. – „To jest naprawdę duży obiekt, gdzieś ponad pół tysiąca metrów kwadratowych. To chyba pierwszy, cywilizowany ukraiński biznes w starej stolicy Polski” – powiedział Jurek Nazaruk.

Zapowiada się kolejna głodówka?

20 marca po raz pierwszy odbyło się spotkanie przedstawicieli lwowskiej parafii św. Marii Magdaleny z merem miasta Andrijem Sadowym. Rozmowa przebiegała w napiętej atmosferze. Do spotkania wiernych obrządku łacińskiego z merem doszło po proteście parafian pod lwowskim ratuszem, który odbył się 5 marca i wywołał rezonans w środkach masowego przekazu na Ukrainie i w Polsce. Protest był reakcją na wyłączenie światła w kościele podczas rekolekcji wielkopostnych.



Podczas uroczystości w Niedzielę Palmową 2011 r.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst
MARIA BASZA zdjęcia

Przybyli do ratusza wierni przekonywali, że ich kościół jest świątynią, a nie Salą Muzyki Organowej. Tymczasem Andrij Sadowy usiłował ich przekonać by zrezygnowali z domagania się zwrotu kościoła i wycofania sprawy, prowadzonej obecnie przez sąd w Kijowie. Jego zdaniem „nie przyniesie ona nic dobrego ani miastu, ani katolikom obrządku łacińskiego”. Pytał, dlaczego tak im zależy właśnie na zwrocie kościoła św. Marii Magdaleny, skoro są inne kościoły.

Bez odpowiedzi pozostało pytanie wiernych – dlaczego władze miasta przekazały kościół do dyspozycji

Sali Muzyki Organowej i Kameralnej na kolejne 20 lat. Parafianie narzekali, że ostatnio przed wejściem do kościoła ustawiono rusztowania, aby uniemożliwić procesję w Niedzielę Palmową i na Wielkanoc. Jako argument w dyskusji z ust Andrija Sadowego padło stwierdzenie, że obecnie w Polsce nie wolno zwracać świątyń Ukraincom i Niemcom – co zupełnie nie odpowiada prawdzie. Mer Lwowa wyraził niezadowolenie, że prezydenci polskich miast apelują do niego o przekazanie gmachu kościoła św. Marii Magdaleny lwowskim Polakom.

„Kościół rzymskokatolicki na Ukrainie nie jest Kościołem polskim – padła odpowiedź parafian. – Jest to Kościół powszechny, a my jesteśmy obywatelami Ukrainy, tu

na tej ziemi urodzonymi. Nasi starsi parafianie w tym kościele przyjęli chrzest św.”.

Parafianka Halina Makowska powiedziała Sadowemu, że rok temu już głodowała wspólnie z parafianami, ażeby zwrócić uwagę na problem kościoła św. Marii Magdaleny. Również obecnie jest gotowa ponownie podjąć w tej sprawie protest głodowy. Andrij Sadowy wzywał wiernych do porozumienia z dyrekcją Sali Organowej. Pod koniec rozmowy przyznał, że ten budynek jest rzeczywiście wybudowany jako kościół i zapewnił, że Rada Miejska odnowi krzyże na kościele św. Marii Magdaleny, a wspólnota parafialna otrzyma pisemną odpowiedź na każdą z poruszonych kwestii.



Rusztowania przy jedynym wejściu do kościoła, marzec 2012 r.

Tadeusz Furta skończył 102 lata!



Jubilat i konsul RP we Lwowie Marian Orlikowski

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst
JULIA ŁOKIETKO zdjęcia

Na tym jubileuszu nie śpiewano „Sto lat”. Nie wypadło, ponieważ Teodor Furta, członek organizacji polskich kombatantów wojny światowej i osób represjonowanych miasta Lwowa obchodził swoje... 102 urodziny. Zebrani gromko Jubilatowi życzyli „Dwieście lat”. Spotkanie odbyło się w kameralnej salce „Lwowskiej Premiery” i zgromadziło przyjaciół pana Teodora, członków Towarzystwa Kombatantów, konsula Mariana Orlikowskiego, prezesa Towarzystwa Władysława Maławskiego. Z kwiatami i upominkiem dla jubilata przyszedł też stypendyści „Semper Polonii”, zawsze chętni wysłuchać wspomnień z dawnych lat. Jubilat był wzruszony życzeniami, pozdrowieniami i ciepłymi słowami zebranych.

Jubilat wykazał swój humor i dowcip, chętnie dzielił się wspomnieniami, śpiewał piosenki, deklamował wiersze

ambitne cele i zadania. Życzę Panu spełnienia wszystkich zamierzeń i satysfakcji z obranej drogi, jak to było do tej pory...”

W imieniu kombatantów jubilatu serdeczności przekazała pani Bogusława Czerna, wspominając występy jubilata na Uniwersytecie III wieku. Kwiaty i pięknie wydany album ze zdjęciami przekazał panu Furcie Władysław Maławski.

Jubilat podzielił się swoją tajemnicą tak długiego życia. Tak się złożyło w dzieciństwie i młodości jubilata, że zawsze odczuwał głód. Osierocony w wieku 10 lat, wychowywany był przez krewnych, gdzie nie mógł grymasić. Od 12 roku życia osiadł we Lwowie, gdzie uczęszczał do szkoły zawodowej, później terminował u szewca-Żyda. Następnie został powołany do wojska. Z tego okresu najprzyjemniejsze wspomnienia ma z Częstochowy, z której nie chciał nawet wyjeżdżać na urlop do Lwowa. Wykazał się przy tym wspaniałą pamięcią, rzucając nazwiskami osób



Życzenia solenizantowi składa młodzież z Klubu Stypendystów SEMPER POLONIA

sze, w tym i na jidysz, języka, którego nauczył się w czasie terminowania u szewca we wczesnej młodości.

Na wstępie konsul Orlikowski odczytał gratulacje w imieniu konsula generalnego RP Jarosława Drozda, w których zaznaczono między innymi: „Szanowny panie Teodorze! W związku z osiągnięciem przez Pana pięknego wieku i rozpoczęciem 103 roku życia, pragnę złożyć Panu najserdeczniejsze życzenia wielu kolejnych lat życia w zdrowiu, dobrej kondycji i pogodzie ducha, które reprezentuje pan obecnie. Pańskie zasługi wobec Ojczyzny i ukochanego Lwowa są mi znane. Poczytuję sobie za zaszczyt, że znamy się osobiście... Pragnę raz jeszcze podziękować Panu za ofiarą służbę w czasie II wojny światowej, wierność Ojczyźnie w latach powojennych i aktywną działalność w środowisku kombatantów... Jest pan osobą, która zawsze odznaczała się hartem ducha. Był pan przykładem Polaka-patrioty. Jako prawdziwy żołnierz i patriota nie spoczywa pan na laurach, zawsze mając przed sobą

z tamtych lat, nazwami ulic, miejscowości. Następnie nadeszły tragiczne czasy – wojna, bitwa nad Bzurą, niewola niemiecka.

Ale po tych tragicznych przejściach pan Teodor nie zatracił pogody ducha, pogodnego, filozoficznego podejścia do życia. Tym zawsze dzielił się z rodziną i otaczającymi go ludźmi.

Młodzież chłonęła opowieści jubilata. Dla nich to praktycznie historia XX wieku opowiadana na żywo. Nie zawsze i nie każdy ma taką możliwość. Tym bardziej, że można z tak ciekawą osobą obcować bezpośrednio. Mimo, że jubilata dzieliła od najmłodszej osoby przy stole przestrzeń 80 lat, absolutnie się tego nie odczuwało i wszyscy czuli się jak jedna rodzina – dziadkowie, dzieci, wnuki. A jubilat życzył wszystkim, żeby dożyli do jego lat i czuli się tak, jak on.

Redakcja również dołącza się do tych wszystkich serdeczności, do wielu ciepłych słów i powinszowań, życząc panu Teodorowi Furcie wielu pogodnych i zdrowych lat życia.

RADNI OCHOTY W IWANO-FRANKOWSKU

W ubiegły piątek Iwano-Frankowsk (d. Stanisławów) odwiedziła delegacja warszawskiej dzielnicy Ochota, która od wielu lat jest partnerem Iwano-Frankowska. Radni Ochoty i Iwano-Frankowska spotykają się regularnie, co przełożyło się na realizację wielu wspólnych projektów.



Delegacja Dzielnicy Warszawa-Ochota

NATALIA KOSTYK
tekst i zdjęcia

Na czele warszawskiej delegacji stała przewodnicząca Rady Dzielnicy Ochota Hanna Gęściak-Wojciechowska. W składzie delegacji przybyli również: zastępcy przewodniczącego Rady Jan Kasprzyk i Mariusz Oprządek, naczelnik Wydziału Promocji i Funduszy Europejskich Sławomir Nosowicz, przewodniczący Komisji Oświaty Wychowania i Sportu Witold Dzięciołowski oraz dyrektor Domu Kultury „Rakowiec” Jarosław Grzegorzka.

Witold Dzięciołowski – to osoba w naszym mieście znana i szanowana, szczególnie wśród osób zajmujących się pracą z młodzieżą. Trudno policzyć ilu młodych ludzi z dawnego Stanisławowa zobaczyło dzięki niemu Warszawę.

Wielu młodych ludzi ze szkoły średniej nr 23 i tak zwanej trójki – szkoły z polskim i rosyjskim językiem wykładowym, wspólnie ze swoimi rówieśnikami z Polski, co roku uczestniczy w organizowanym przez niego plenerze malarskim w Kamieńcu Podolskim. Wszystko to w ramach projektu „Współpraca ze Wschodem – Ochota dla Tradycji”. Projekt



Hanna Gęściak-Wojciechowska, przewodnicząca Rady Dzielnicy Ochota wręcza nagrody

trwa już dziesięć lat, a jego duchem sprawczym jest właśnie Witold Dzięciołowski.

Podczas swego krótkiego pobytu, przedstawiciele delegacji z Warszawy odwiedzili dwie zaprzyjaźnione szkoły

– trzecią i dwudziestą trzecią. Potem udali się na spotkanie z przewodniczącym Rady Miejskiej i Radnymi Iwano-Frankowska.

Wieczorem uczestniczyli w corocznej gali TRYUMF, gdzie polska delegacja wzięła udział we wręczeniu nagród najlepszym firmom i organizacjom miasta.

W drodze powrotnej do Warszawy delegacja polskich samorządowców wyjechała do Lwowa na spotkanie ze sportowcami Polskiego Klubu Sportowego „Pogoń – Lwów”, w celu zaproszenia ich na turniej piłkarski do Warszawy, jaki odbędzie się w czerwcu bieżącego roku.

Warto wspomnieć, że wśród miast – partnerów Iwano-Frankowska (dawnego Stanisławowa), oprócz Dzielnicy Warszawa – Ochota należy 11 innych polskich miast. Są to: Rzeszów, Chrzanów, Zielona Góra, Rybnik, Tomaszów Mazowiecki, Opole, Świdnica, Lublin, Koszalin, a także Powiat Nowa Sól i Nysa.



Gala „Tryumf”



Z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych, składamy najserdeczniejsze życzenia: dużo zdrowia, radości, smacznego jajka, mokrego dyngusa, mnóstwo wiosennego optymizmu oraz samych sukcesów.

Konferencja prasowa w konsulacie generalnym RP we Lwowie

CO Z WIZAMI PRZED EURO 2012

21 marca br. w siedzibie konsulatu generalnego we Lwowie odbyła się konferencja prasowa poświęcona działalności wizowej konsulatu i centrum wizowego oraz o przygotowaniach do wzmożonego ruchu wizowego w czasie rozgrywek EURO 2012.



Konsul generalny RP we Lwowie Jarosław Drozd

KRZYSZTOF SZYMAŃSKI
tekst i zdjęcie

Udział w konferencji prasowej wzięli konsul generalny RP we Lwowie Jarosław Drozd, konsul Marcin Zieniewicz, a również Dmytro Taranuk, dyrektor Sp z OO PHT-Ukraine, IT – firmy obsługującej centrum wizowe, Rachid Sanru regionalny przedstawiciel VFS Global, firmy prowadzącej centrum wizowe i Wołodymyr Gubicki, zastępca wojewody do spraw budownictwa i EURO 2012. Na wstępie konsul Zieniewicz przedstawił zebrany wyniki wizowej działalności konsulatu w 2012 roku. Konsul generalny zapoznał zebranych z liberalizacją działalności wizowej i planowanymi działaniami konsulatu na czas rozgrywek EURO 2012.

Kibice mogą otrzymać wize na podstawie biletów na mecze grupowe. Natomiast na kolejne mecze chętni też będą mogli uzyskać wize na podstawie dokumentów potwierdzających odbiór biletów na stadionie. Obowiązkowe jest ubezpieczenie na 30.000 euro (tradycyjne – bez zmian). Wize będą wydawane na okres 30 dni i w terminie przyspieszonym, bez dodatkowych opłat. Wiąże się to z krótkimi terminami pomiędzy kolejnymi meczami.

Kibice, którzy zechcą jechać na mecze do Polski bez biletów na mecz, do stref kibica, muszą starać się o wize turystyczne na zwykłych warunkach (rezerwacja hotelu, skierowanie firmy turystycznej). Możliwa jest organizacja wyjazdów grupowych.

Dobrą informację podał też konsul Jarosław Drozd, że na czas rozgrywek na granicy będą preferowane wszystkie otwarte wize: turystyczne,

biznesowe, kulturalne. Dokładnie ze wszystkimi warunkami działalności wizowej konsulatu można zapoznać się na stronie internetowej: www.lwowkg.polemb.net

Wołodymyr Gubicki przedstawił działanie władz wojewódzkich, dotyczące organizacji przejść granicznych, modernizacji dróg i lwowskiej infrastruktury do rozgrywek.

Rachid Sanru przytoczył dane co do działalności centrum wizowego od chwili jego otwarcia w listopadzie ubiegłego roku i przedstawił perspektywy otwarcia kolejnych punktów wizowych na Ukrainie. Odpowiadając na pytanie dziennikarzy przedstawił historię firmy VFS Global na Ukrainie. Firma działa już pięć lat i reprezentuje działy wizowe konsulatów 13 państw. Kontrakt na prowadzenie centrum dla konsulatu RP, firma wygrała w drodze przetargu.

Dziennikarzy interesowały głównie kwestie wyjazdu z wizami wydanymi przez konsulaty RP do innych krajów strefy Schengen, w związku z częstymi przypadkami zwracania z granic (niemieckiej, słowackiej, węgierskiej) obywateli Ukrainy. Konsul Jarosław Drozd podkreślił, że zasady wydawania i respektowania wiz Schengen są jasno ustalone, ale niestety zdarzają się „interpretacje” tych przepisów na granicy. Trudno, ale na to konsul RP we Lwowie nie ma wpływu.

Jarosław Drozd zapowiedział też kolejną konferencję prasową na 28 kwietnia. Udział w niej wezmą władze województw przygranicznych z polskiej i ukraińskiej strony, służby celne i graniczne. Będą poruszane kwestie gotowości wszystkich struktur do EURO 2012.

„Znasz-li ten kraj?...” – IV Konkurs Wiedzy o Kulturze i Języku Polskim

23-25 marca 2012 w Brzuchowicach k. Lwowa odbył się IV Konkurs Wiedzy o Kulturze i Języku Polskim pt. „Znasz-li ten kraj?...”. Celem projektu, zorganizowanego przez Konsulat Generalny RP we Lwowie, jest wymiana doświadczeń uczniów i nauczycieli, pozytywna rywalizacja i integracja środowiska młodzieżowego. Corocznie konkurs odbywa się w rzymskokatolickim seminarium duchownym w Brzuchowicach.

RENATA KLĘCZAŃSKA
tekst
ANDRZEJ LEUSZ zdjęcie

Uczestników, startujących w trzech grupach wiekowych, powitał konsul generalny Jarosław Drozd, życząc im sukcesów i zachęcając do systematycznego pogłębiania wiedzy o Polsce.

Konkurs odbywał się w trzech etapach. Rozpoczęły go egzaminy pisemne w postaci testów z zakresu wiedzy o języku polskim, literaturze, kulturze, historii i geografii Polski. Później przeprowadzono część ustną i prezentację na temat „W przyszłości chciałbym być jak...”.

Nauczanie rozumienia ze słuchu i prezentację podręczników do nauczania języka polskiego jako obcego dla nauczycieli przygotowali lektorki Szkoły Języka Polskiego

I Rafał Bałuch – Fakultet języka polskiego przy Szkole Podstawowej w Pnikucie (nauczyciel: Janina Jagiełło);

II Krystyna Jastrebska – Polska Niedzielną Szkoła w Samborze (nauczyciel: Maria Ziembowicz);

III Julia Dorosz – Fakultet języka polskiego przy Szkole Podstawowej w Pnikucie (nauczyciel: Janina Jagiełło).

Wyróżnienia:

A. Natalia Drozdyk – Szkoła Podstawowa w Starej Hucie, obwód czerniowiecki (nauczyciel: Tomasz Kałuski);

B. Zofia Łebidź – Szkoła sobotnio-niedzielną przy PUKOT w Czortkowie (nauczyciel: Witalij Zatylny);

C. Andrzej Bernad – Sobotnia szkoła języka i kultury polskiej przy parafii św. Marcina w Siemianówce



B. Włodzimierz Dydyński – Polska Sobotnia Szkoła przy CKO PMN w Borysławiu (nauczyciel: Aleksandra Krajnik);

C. Ilona Trusz – CKO im. Karoliny Lanckorońskiej w Nowym Rozdole (nauczyciel: Elżbieta Kacprzyk).



i Kultury dla Cudzoziemców przy Uniwersytecie Wrocławskim Dorota Król i Anna Mądraska. Miała miejsce również prezentacja metod i technik w nauczaniu mówienia i pisania oraz wiedzy o Polsce. Dzięki KG RP we Lwowie, przygotowujący uczniów do konkursu nauczyciele mają możliwość skorzystania z rad i fachowej pomocy w nauczaniu. W tym miejscu należy podkreślić ogromne zaangażowanie konsulów Jacka Żura, Anny Koziejowskiej, Mariana Orlikowskiego oraz pracowników konsulatu w przygotowaniu i przebiegu konkursu. Od I konkursu w ich organizacji czynnie uczestniczą również nauczycielki Średniej Szkoły Ogólnokształcącej nr 3 w Iwano-Frankowsku (d. Stanisławowie).

Już za rok czeka nas V jubileuszowe wydanie konkursu. W tym roku zwycięzcy otrzymali laptopy i zestawy książek. Jest więc o co powalczyć.

Zwycięzcy i wyróżnieni w konkursie:

Grupa „młodsza”
(klasy V – VI)

(nauczyciel: Anna Wojciechowska-Ształbawa);

D. Piotr Juzwa – Szkoła sobotnio-mniejszości polskiej przy TKPZL o/Złoczów (nauczyciel: Magdalena Strama);

E. Jerzy Wilszanecki – Szkoła Polskiej Mniejszości Narodowej przy Szkole Podstawowej nr 1 w Stryju (nauczyciel: Lesia Buhera).

Laureaci grupa „średnia” (klasy VII – IX)

I Justyna Iwaszczak – Polska Niedzielną Szkoła w Samborze (nauczyciel: Maria Ziembowicz);

II Maksymilian Kałuski – Szkoła Podstawowa w Starej Hucie (nauczyciel: Tomasz Kałuski);

III Olesia Czysziakowa – Szkoła Polskiej Mniejszości Narodowej przy Szkole Podstawowej nr 1 w Stryju (nauczyciel: Lesia Buhera).

Wyróżnienia:

A. Joanna Dorosz – Fakultet języka polskiego przy Szkole Podstawowej w Pnikucie (nauczyciel: Janina Jagiełło);

Laureaci grupa „starsza” (klasy X-XI)

I Zofia Rewkowicz – Polska Sobotnia Szkoła przy CKO PMN w Borysławiu (nauczyciel: Aleksandra Krajnik);

II Anna Sedina – CKO im. Kornela Makuszyńskiego w Stryju (nauczyciel: Julia Petruk);

III Zofia Haradz – CKO im. Kornela Makuszyńskiego w Stryju (nauczyciel: Julia Petruk).

Wyróżnienia:

A. Jerzy Andryc – Polska Niedzielną Szkoła w Samborze (p. Maria Ziembowicz);

B. Paweł Melnyk – CKO im. Karoliny Lanckorońskiej w Nowym Rozdole (p. Elżbieta Kacprzyk);

C. Marianna Jedlicka – Szkoła sobotnio-niedzielną przy Szkole nr 15 w Drohobyczu (p. Oksana Jedlicka).

Serdecznie gratulujemy uczniom i ich nauczycielom!

Jak przygotować ucznia do zwycięstwa

z autorem testów konkursu „Znasz-li ten kraj” dr. JERZYM KOWALEWSKIM rozmawiała RENATA KLĘCZAŃSKA.

JULIA ŁOKIETKO zdjęcie

W jaki sposób tworzysz testy, jak wyznaczasz zakres materiału do opanowania przez ucznia?

Z racji udziału w pracach Grupy Ekspertów MEN nad „Podstawą programową dla uczniów polskich uczących się za granicą”, chciałem przełożyć idee kanonu wiedzy o Polsce i polskiej kulturze na praktyczne testowanie. W założeniach inicjatywy MEN leży bowiem stworzenie wspólnej podstawy dla wszystkich punktów nauczania języka polskiego i kultury polskiej na świecie. Należy w tym celu opracować coś w rodzaju „testów kulturowych” opartych na wspólnie i ogólnie przyjętym kanonie wiedzy o Polsce i polskiej kulturze. Zatem: treści „Podstawy” znalazły się w testach.

W I edycji przyjęliśmy za zakres materiału dostępne powszechnie na Ukrainie podręczniki „Pokochaj polską mowę” i „Strzeż polskiej mowy”. Od II edycji, gdy Podstawa była już dostępna w Internecie i na Ukrainie została przerobiona na program nauczania (też dostępny tylko – niestety – drogą elektroniczną), opracowaliśmy regulamin, w którym podane zostały zakresy wiedzy dla poszczególnych grup, „kompatybilne” z Podstawą i wspomnianym programem nauczania.

Jeśli zaś chodzi o testy językowe, to tu: dla grupy młodszej są przewidziane wymagania z Podstawy, dla grupy średniej jest to poziom B1 (według standardów egzaminów certyfikacyjnych z języka polskiego jako obcego), w grupie najstarszej – B2. Od początku chcieliśmy włączyć nauczanie (i testowanie) języka w system certyfikacji. W II edycji zadania były częściowo przygotowane przez Komisję Poświadczania Znajomości Języka Polskiego jako Obcego w ramach testowania „wersji junior”. Gdy egzaminy „ruszą” – prawdopodobnie wrócimy do tej koncepcji. A na razie (edycje III i IV) język był testowany w oparciu o tekst, co jest realizacją koncepcji programu kulturowego (i metody kulturowej), którym się zajmuję i którego czuję się skromnym twórcą i propagatorem.

Jak oceniasz stopień trudności dla poszczególnych grup?

Wyniki pokazują, że testy są za trudne, ale, moim zdaniem, nie wynika to z ich trudności (choć oczywiście można dyskutować nad poszczególnymi pytaniami). Dzieci nieźle radzą sobie z gramatyką (teoretycznie), gorzej, ale „w normie”, z pisaniem, najlepiej z rozumieniem tekstów. Widać wyraźne problemy ze słuchaniem. Widać, że w szkołach uczniowie nie słuchają – bo z czego?



Dr Jerzy Kowalewski na Uniwersytecie im. Iwana Franki we Lwowie

Brakuje autentycznych materiałów i uczniowie z dalszych stron, gdzie nie ma polskiej telewizji i radia, mają problem. Nie umieją też robić testów. Wpisują „to, co słyszą”, ale z błędnymi końcówkami gramatycznymi, których nie słyszą. Nie sprawdzą, czy wpisana forma ma sens gramatyczny w sąsiedztwie innych słów. W tym roku, np. trzeba było wpisać słowo „felietonista”, ale ani jedno dziecko (na 28 w grupie) go nie wpisało. Koncepcji było wiele – telefonista, telegrafista, nawet wolejbolista.

W zadaniach „na rozumienie globalne” wyniki zazwyczaj są dobre, bo język polski jest dobrze rozumiany. Testy są przygotowywane z nagrań autentycznych (radio, telewizja, programy edukacyjne, Internet), dostosowane poziomem i treścią do wieku. Są też (nawet te językowe) oparte na tematach kultury. I tu nieraz można wypełnić test (albo jego część) bez słuchania. Gdy jednak nie ma wiedzy – trzeba informację usłyszeć. W tym roku zaskoczyło mnie, że większość dzieci wpisywała błędną odpowiedź, że król Jan III Sobieski urodził się w Gdańsku. A przecież uczestnicy konkursu pochodzą z lwowskiego okręgu konsularnego, więc powinni znać zamek w Olesku. Czasami jest tak, że na lekcjach poznają wiele o Warszawie, a mało o swoich okolicach w kontekście polskim.

Najgorzej wypadają dzieci najmłodsze, więc prawdopodobnie formuła testu dla nich się zmienia – choć na wypracowanie nowej formuły, takiej, w której dzieci pochwalą się wiedzą, a nie wykażą niewiedzę, jest jeszcze czas. Być może powstanie „zespół ekspertów”, który wspólnie wypracuje taką formułę.

Czy dostrzegasz postęp w przygotowaniu dzieci na przestrzeni między I a IV konkursem?

Dzieci startujące po raz kolejny są przygotowane lepiej. Smuci fakt, że wiele dzieci przyjeżdża nieprzygotowanych do prezentacji ustnej, a właśnie ta prezentacja tak naprawdę ma charakter decydujący o wyniku olimpiady. Wiele do życzenia pozostawia też forma „socjokulturowa” – jest to ich nieraz pierwszy w życiu egzamin, może warto by było „zrobić dobre wrażenie” – od stroju po, np. jakieś podziękowanie organizatorom. Ale to już „zasługa” szkoły (i rodzi-

ców). Co roku zdarzają się zarówno dzieci świetnie przygotowane, jak te mniej. Myślę, że proporcje zmieniają się jednak na korzyść.

Co roku zabierasz testy do analizy. Co sprawia dzieciom najwięcej trudności?

W teście językowym: pisanie – są błędy (tego nie unikniemy), ale też brak kompozycji wypowiedzi i... (wciąż jeszcze) brak własnego zdania – a tego można się nauczyć. To już jest pytanie o stan edukacji polskiej na Ukrainie, cele dydaktyczne, idee kształcenia itd. Ogólny problem jest ze zwracaniem się do dorosłych, niestety – jak w szkole – tak na teście: panie Jerzy. A jest to forma niedopuszczalna.

W teście kulturowym widać braki w wiedzy geograficznej i historycznej, dzieci nie znają też literatury polskiej, nawet tytułów i autorów dzieł wskazanych w regulaminie (tych z Podstawy). Po prostu dramat. Wiadomo, że w szkołach sobotnich nie ma czasu na historię, geografę i literaturę, gdy trzeba się uczyć pisać i czytać, ale tu po pierwsze – z pomocą przychodzi idea programu kulturowego (i metody kulturowej), który „przy okazji” nauczania języka wprowadza bardzo wiele treści kulturowych, a po drugie – trzeba uwrażliwić nauczycieli na przekazywanie wiedzy regionalnej: jak historia – to wydarzenia w mojej okolicy w kontekście historii powszechnej; jak geografia – to najbliższa; jak literatura – to lokalna. No i warto wspomnieć, że np. zmarła Szymborska (wiedziało o tym 8 dzieci), że jest rok Korczaka (niecała połowa dzieci wiedziała kim był). Dzieci nie znają mapy Polski – regiony geograficzne, miasta, rzeki – to wielki problem. A można robić tyle „fajnych” ćwiczeń językowych na mapie. Np. na miejscownik, a co oko zobaczy, głowa zapamięta.

W jakim temacie chętnie i w miarę bez problemów się wypowiadają?

Ciekawe wypowiedzi zdarzają się nieraz podczas prezentacji ustnych. Do dziś jestem wzruszony prezentacją o mamie („Kim chcę być?”) – była niezwykła o zwyczajnej kobiecie, ciepła i pełna miłości dziecka. Oczywiście, najchętniej mówią o tym, co jest im bliskie, stąd komisje prowadzą raczej ciepłą rozmowę niż egzamin (bo wiedza jest raczej mizerna...). Szukamy talentów, osobowości. Idea konkursu jest to, żeby dzieci z wiejskich szkółek i punktów nauczania też miały swój konkurs, na swoim poziomie i według swoich możliwości. W każdym dziecku jest „coś” – trzeba tylko to wydobyć, a czasami trudno mu się wydobyć, bo brakuje słownictwa. Ale nie to jest najważniejsze. Chcemy przede wszystkim docenić pracę dzieci, wkład włożony w przygotowanie, własne myślenie – ocenę rzeczywistości, łączenie faktów. Temu też służą pytania testowe, bardzo praktyczne: Co napiszemy na drzwiach w Święto Trzech Króli? – Jedną z odpowiedzi brzmiała: „Wesołych świąt”. Jak powitamy podróżników z Polski w Wroklucie – Najlepsza odpowiedź: „Teraz wstańmy i podziękujmy Panu Bogu”.

Jakieś smaczki, ciekawostki po analizie testów...

Zawsze podczas poprawy można znaleźć coś wesołego, np. dowiedziałem się w tym roku, że pan Tadeusz uciekał z Krakowa do Ameryki, albo, że z dziećmi w sierocińcu pracował (zamiast Janusza Korczaka). Albo, że Sowietci najechali na Polskę 22 VI 1919 roku! Nieraz sformułowania budzą uśmiech, jak np. (do prezesa): „Szanowny pan Grzegorz! Chciałam poznać się z panem”, (do Polaka w Wroklucie): „Przepraszam, czy pan może mnie poprowadzić do toalety” i wiele, wiele innych. Nieraz odpowiedzi są bardzo szczerze, np. na pytanie, jak zapytać o toaletę, dziewczynka odpowiada: „Tak zwyczajnie”. I o to chodzi – żeby olimpiada była „taka zwyczajna”, dla dzieci, ale była też drogowskazem dla nauczycieli – jak „zwyczajnie – niezwyczajnie” uczyć.

Czy przewidujesz zmianę „formuły” na V konkurs?

Jestem jedynie „układaczem” testów. Zamawia je organizator konkursu: Konsulat Generalny RP we Lwowie. Zmiana formuły wisi w powietrzu. Z kilku rzeczy jednak nie zrezygnuję: teksty powinny być autentyczne (i ze słuchu i do czytania), jak również kulturowe. Uczestnicy muszą mieć frajdę i poczucie sukcesu, zakres wiedzy powinien zaś nie wychodzić poza kanon Podstawy, choć oczywiście może być mocno zredukowany. Marzy mi się konkurs otwarty, nie pisemny, ale w formie quizu, widowiskowy, multimedialny, może zamiast ustnych „egzaminów”? Jestem otwarty na wszelkie zmiany i oczywiście otwarty na dalszą współpracę z organizatorem, ale też na sugestie uczniów, nauczycieli i rodziców.

Dziękuję za rozmowę.

Info:

Dr Jerzy Kowalewski – od 1996 roku nauczyciel języka polskiego jako obcego na UJ, od 1998 nauczyciel języka i kultury polskiej na Białorusi i Ukrainie, asystent w Centrum Języka i Kultury Polskiej w Świecie UJ (2005-2008), metodyk nauczania języka polskiego oraz kultury polskiej poza Polską w Centrum Metodycznym w Drohobyczu (2008-2010), lektor na uniwersytetach: im. Tarasa Szewczenki w Kijowie (2004/2005) i im. Iwana Franki we Lwowie (obecnie), wykładowca na Uniwersytecie Pedagogicznym w Drohobyczu (2008-2010).

Jerzy Kowalewski jest propagatorem tzw. programu kulturowego w nauczaniu języka polskiego jako obcego i autorem wielu publikacji naukowych na ten temat, w tym książki „Kultura polska jako obca?” (2011) oraz zbioru lekcji realizowanych metodą kulturową pt. „Myślę po polsku” (2009). Jest współautorem materiałów do nauki języka polskiego na Wschodzie „Co nas łączy...” (2008, 2011). Brał udział w pracach Grupy Roboczej Państwowej Komisji Poświadczenia Znajomości JPJO (2006-2008), Grupy Ekspertów MEN pracującej nad Podstawą programową dla uczniów polskich uczących się za granicą (2008-2009) i nad platformą edukacyjną „Włącz Polskę” (od 2010).

W Tarnopolu kultywuje się tradycje Słowackiego

Język polski jest uważany za atrakcyjny dla dzieci, młodzieży, a nawet dla dorosłych mieszkańców Tarnopola. Przy towarzystwie, skupiającym Polaków działa szkoła, do której uczęszczają setki ludzi. Tylko jedna szkoła średnia w mieście ma kontakty z Polską. Chociaż nie jest to taki poziom współpracy, jaki mają szkoły we Lwowie, Iwano-Frankowsku czy Łucku.

SABINA RÓŻYCKA tekst i zdjęcia

Najlepiej współpraca z Polską układa się w średniej szkole nr 4. Tu od siódmej klasy uczą się polskiego. Sprzyja temu aktywność dyrekcji. Nawet szkolny budynek związany jest z historią Polski – było tu tzw. Drugie Gimnazjum. „Konieczność wybudowania szkoły wynikała ponad 100 lat wstecz. Wtedy już pierwsze klasyczne gimnazjum nie mogło pomieścić chętnych, bo ludność Tarnopola gwałtownie wzrastała, – opowiada czytelnikom Kuriera wicedyrektor d/s nauczania szkoły nr 4 Oksana Kulanda, idąc ze mną szkolnym korytarzem. – Wtedy to magistrat zdecydował o budowie nowego gmachu drugiego gimnazjum na zakupionej działce przy ul. Świętojańskiej. Gmach zaprojektowano w Wiedniu, a budowa trwała od 1905 po 1908 rok. 18 listopada 1911 roku gmach został poświęcony. Na początku XX wieku tylko Drugie Gimnazjum miało oświetlenie elektryczne i specjalną salę gimnastyczną. Oprócz sal lekcyjnych były tu gabinety biologiczne, archeologiczne, fizyczne,



Widok współczesny dawnego Drugiego gimnazjum w Tarnopolu



Dyrektor szkoły Natalia Leweniec i wicedyrektor Oksana Kulanda z uczniami w szkolnym muzeum Juliusza Słowackiego

geograficzno-historyczny i oddzielna sala rysunków”.

Gimnazjum miało tak wielkie znaczenie, że w latach 30. otwarto przy nim dwa licea o kierunku humanistycznym. Tu nauczano języka francuskiego, niemieckiego, a dodatkowo – angielskiego i ukraińskiego. Pani Kulanda mówi, że historię swojej szkoły uczniowie i nauczyciele zaczęli poznawać dopiero w 2004 roku, gdy wzięli udział w ogólnoukraińskim eksperymencie krajoznawczym. Za intensywne badania historii szkoły włączono ją do setki najlepszych szkół Ukrainy. „Udało się nam znaleźć wiele ciekawych dokumentów archiwalnych, dotyczących naszej szkoły – kontynuuje pedagog. – Gmach Gimnazjum służył lokum dla zmęczonych wojną wojskowych i urzędników. Od 1935 roku Gimnazjum nosiło imię wieszczki Juliusza Słowackiego. Jego popiersie zdobiło wejście do szkoły jeszcze w 1911 roku. Zostało zniszczone w czasie wojny w 1944. Po drugiej wojnie

światowej całkowicie zrujnowany budynek odbudowano. Ale przez długie lata nie pełnił swej funkcji. Władze sowieckie umieściły tu wojskowy komisariat. Dopiero od 1986 roku znów pełni funkcję szkoły”.

Przed kilkoma laty z okazji 200 rocznicy urodzin Słowackiego tarnopolska szkoła nr 4 została włączona do europejskiej rodziny szkół im. Juliusza Słowackiego. „Do Tarnopola zawiitali goście z Polski, którzy przywieźli stary serwis, obur i cenne książki, – kontynuuje opowieść o szkole dyrektor Natalia Leweniec. – Przy szkole stworzono muzeum Juliusza Słowackiego i teatralny salonik pani Salomei. Takie imię nosiła matka poety. Wystawiamy przedstawienia według utworów Słowackiego, w których biorą udział uczniowie, nauczyciele i rodzice”. Co roku na wiosnę odwiedzają nas goście z Polski i też prezentują nam swój dorobek artystyczny według Słowackiego. Przyjazdy organizuje Andrzej Król, przewodniczący



europejskiej rodziny szkół im. Słowackiego. W muzeum są wydania utworów wieszca, dokumenty z historii szkoły. Historycznego kolorytu dodają obrazy z życia poety, które sprostował szkole Zastępcy Marlarz Ukrainy Jewhen Udin.

Ostatnio pięcioro nauczycieli szkoły nr 4 wzięło w Chorzowie udział w obchodach 55-lecia jednej ze szkół partnerskich. Często do Polski wyjeżdżają i uczniowie. Prezentują sztukę kuchni narodowej, a nawet zorganizowali kilka... „Wiedeńskich Bali”. Naturalnie, niewielkich, na skalę szkoły. Ale nawet tym polscy rówieśnicy i pedagodzy byli zadziwieni. „Bale zostały poprzedzone szkołą tańca, gdzie nauczano dawnych tańców. Na balu wybierano najlepszą parę, – mówi pani Kulanda. – Dla dzieci taki wyjazd to nowe znajomości, możliwość praktycznego szlifowania języka. Uczniowie obcują z kolegami w Internecie”. Wielu absolwentów szkoły kontynuuje naukę na uczelniach Rzeszowa, Lublina czy Warszawy.

PODOLSCY ZIEMIANIE I PODOLSKIE PISANKI

„Pamiętki rodzinne, świadczące o szacunku polskich ziemian dla ukraińskiej kultury rodzimej ofiarowuję Wam Kochani Antkowie z prośbą, byście je szanowali i nauczyli szacunku dla ich twórców młode pokolenia Polaków i Ukraińców”.



Ślub Anny Belina-Brzozowskiej z Zygmuntem Broel-Platerem, Popieluchy, 1899 r. ze zbiorów Jacka Mycielskiego

Niedawno światło dzienne ujrzała niezwykła publikacja. Prezentacja albumu „Podolskie pisanki” odbyła się kilka dni temu w Warszawie. Album nie jest jednak kolejnym opracowaniem etnograficznym. Historia jego jest niezwykła...

Nawet pisanki mają swój los...

Historia rodzinna spisana pisankami – czy to jest możliwe? Jednak tak. Gdy jedni ratowali przed bolszewikami życie, inni dobytek, rodowe złota, byli tacy co za największy skarb uważali... album z pisankami.



Dobrze, że po latach rodzina Belina-Brzozowskich postarała się o wydanie rysunków wzorów pisanek podolskich i tym samym swoim potomnym przypominała historię swego rodu.

Historia albumu bierze swój początek daleko przed rewolucją bolszewicką 1917 r. we wsi Popieluchy, leżącej na terenie dzisiejszej Ukrainy, niedaleko granicy z Mołdawią. Album, własność Państwa Ewy i Antoniego Belina-Brzozowskich, jest unikatowym zbiorem 183 ludowych pisanek ze wsi Popieluchy (dawny pow. Olgopolski, obwód winnicki, Ukraina). Nigdy dotąd nie był publikowany. Powstał dzięki Helenie z Grocholskich Janowej (1845-1922), która zebrała kolekcję blisko 200 pisanek we wsi Popieluchy należącej do majątku rodziny Belina-Brzozowskich. Wzory poszczególnych pisanek zostały przez autorkę pieczołowicie odwzorowane w albumie.

Obecnie, niemal w sto lat od momentu wykonania oryginału, publikacja ujrzała światło dzienne. Zawiera ona część historyczną – niezwykle dzieje samego albumu, część etnograficzną – opis znaczenia albumu jako zapisu podolskiej sztuki ludowej oraz część ilustracyjną – reprodukcje 183 pisanek.

Historia rodzinna w albumie zaklęta

Dzieje albumu z pisankami ukraińskimi obejmują jedno stulecie i zwią-



zane są ściśle z rodziną Belina-Brzozowskich. Powstanie i przechowanie tej kolekcji należy zawdzięczać trzem paniom: Helenie z Grocholskich Janowej Belina-Brzozowskiej, Annie z Broel-Platerów Janowej Ostrowskiej oraz Helenie z Broel-Platerów Ludwikowej Mycielskiej.

W Popieluchach (wedle podziału administracyjnego Rosji carskiej wieś ta należała do powiatu olhopolskiego guberni podolskiej) stał wówczas dwór należący do Heleny z Grocholskich i Jana Belina-Brzozowskich. Był to jeden z wielu majątków należących do tej rodziny. Brzozowscy osiedli na Podolu w II poł. XVIII wieku po zakupie ziem wchodzących niegdyś w skład latyfundiów Koniecpolskich. Oprócz Popieluch posiadali m.in. Sokółówkę, Czobotarkę, Żabokrzysz, Lewków, Tarnawkę, Krzykliwiec, Miastkówkę, Koziniec, Sawiniec, Kitajgród, Kunicze i Wołyń w Królestwie Polskim. Łączny obszar ich dóbr obejmował ok. 55 tys. h. Do tego dochodził jeszcze pałac w Warszawie przy ul. Brackiej i ogromny neogotycki pałac w Odessie.

Główną siedzibą rodową była Sokółówka. Tamtejszy dwór mieścił jedną z największych kolekcji dzieł sztuki w skali całego Podola. Znacz-

na fortuna Brzozowskich pozwalała na liczne podróże po Europie i rozwijanie kolekcjonerskich pasji. Zenon Belina-Brzozowski (1806-1887), sam wychowanek Liceum Krzemienieckiego i marszałek szlachty guberni podolskiej, łączył w sobie cechy znakomitego gospodarza, miłośnika sztuki i hojnego mecenasa. Juliusz Słowacki należał też do grona przyjaciół Zenona Belina-Brzozowskiego, z którym podróżował na Bliski Wschód w 1837 r.

Zgodnie z wolą Zenona Brzozowskiego, starszemu synowi, Janowi Tadeuszowi (1844-1908) przypadły w udziale m.in. Popieluchy. Po ślubie z Heleną z Grocholskich (1845-1922), młoda para zdecydowała, że osiadzie tu na stałe. Dwór rodzinny w Popieluchach, w ciągu lat stał się też ośrodkiem kultury polskiej. Brzozowscy przechowywali u siebie pamiętki po Juliuszu Słowackim, archiwa po Zenonie Brzozowskim, w tym mapę



rodzinych pamiętek, fotografii i dokumentów rodzina zdołała też uratować album z pisankami ukraińskimi, który Helena Brzozowska przechowywała do swej śmierci w Krakowie w 1922 r. Zaginął on jednak podczas przymusowego wysiedlenia rodziny przez Niemców. Do naszych czasów przetrwała jednak jego wierna kopia wykonana przez Annę Ostrowską. W roku 1923, gdy spodziewała się drugiego potomka w wolnych chwilach zajmowała się malowaniem. Z rodzinnego domu w Białaczowie wypożyczyła oryginalny album pisanek ukraińskich i wykonała jego kopię. Jak sama zapisała na kartach albumu: „Bawiłam się tym przez miesiąc oczekiwania na urodzenie Juleczka, w klinice warszawskiej”.

Po wojnie Anna Ostrowska próbowała zarabiać wykonując drobne prace o charakterze plastycznym. W



Ewa ze Szlenkierów i Antoni hr. Belina-Brzozowski. 1998 rok. Ze zbiorów Antoniego hr. Belina-Brzozowskiego

Kresów z herbami właścicieli dóbr. Kolekcjonowali starą porcelanę i uzupełniali bibliotekę. Helena Brzozowska doceniała też wartość ukraińskiej sztuki ludowej. Objężdżając okolice wioski obserwowała zwyczaje, zbierała informacje i przedmioty ludowego rękodziela. Gdzieś na początku XX stulecia poprosiła właściciela z Popieluch o pisanki, które malowali w okresie świąt wielkanocnych. Do dworu trafiły 183 pisanki ozdobione zgodnie z ukraińskimi tradycjami. Wzór każdej z nich Helena Brzozowska skopiowała dokładnie, niemal każdą podpisała. Powstał w ten sposób album, który do czasów rewolucji bolszewickiej był przechowywany w archiwum Brzozowskich.

Życie rodzinne w Popieluchach toczyło się spokojnym rytmem do rewolucji bolszewickiej 1917 r., kiedy wiele polskich rodzin zostało pozbawionych majątków i domów. Ostatecznie po traktacie ryskim Brzozowscy utracili swoje dobra na Podolu i zostali zmuszeni do jego opuszczenia. Wśród

roku 1981 podarowała album swej siostrze Helenie Ludwikowej hr. Mycielskiej (1906-2008). Był to prezent z okazji 50-tej rocznicy ślubu Ludwikostwa Mycielskich.

Album z pisankami podolskimi Helena Mycielska przechowywała przez 16 lat. W roku 1997 podarowała tę rodzinną pamiętkę Ewie i Antoniemu hr. Belina-Brzozowskim. W swym liście pisała:

- Pamiętki rodzinne, świadczące o szacunku polskich ziemian dla ukraińskiej kultury rodzimej ofiarowuję Wam Kochani Antkowie z prośbą, byście je szanowali i nauczyli szacunku dla ich twórców młode pokolenia Polaków i Ukraińców.

Historia „zatoczyła koło” – album Heleny Brzozowskiej, skopiowany i przechowany przez jej wnuczki, po stuletniej wędrówce powrócił do rodziny Brzozowskich.

Na podstawie materiałów Marcina Brzezińskiego i Mariana Pokropka

„... w dwie godziny ksiądz zbiera do pięciu tysięcy jaj i całuje najpiękniejsze młodyce, starszym zaś babom tylko ręce do całowania podaje: sam metropolita kijowski w ten sposób postępował. Przez cały ten tydzień aż do niedzieli przewodniej całowano się przy spotkaniu i ofiarowywano sobie nawzajem pisanki”.

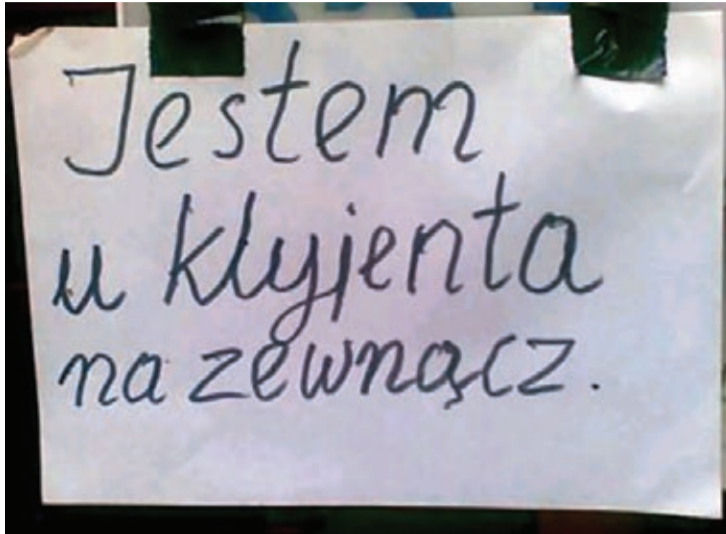
z relacji Wilhelma Beauplan'a /1600-1675/

NARESZCIE!

SZYMON KAZIMIERSKI
tekst
www.niepoprawni.pl
zdjęcie

Po naprawdę wielu dziesięcioleciach Polacy poszli po rozum do głowy i wreszcie wyzwolili się z pod kurateli uniwersyteckich „leśnych dziadków”. Sejm przyjął właśnie ustawę o uproszczeniu pisowni polskiej i nowa ustawa wchodzi w życie już od 1 stycznia 2013 roku, czyli od Nowego Roku będziemy nareszcie wolni od wszelakich „er-zeńców”, „ó kreskowanego”, czy „ce-ha”. Koniec z tym szaleństwem!

Uczone profesorstwo widząc zakusy posłów na swoją dotychczas nienaruszalną wieżę z kości słoniowej, wobec kompletnego braku zainteresowania Polaków akcjami zbierania podpisów w obronie tradycyjnego zapisu języka polskiego, próbowało w dużych miastach uniwersyteckich organizować manifestacje, uliczne zadymy i protesty, ale ku ich rozczarowaniu nikt jakoś nie kwapił się do tego. Terror, jakiemu byliśmy poddawani w szkołach przez „panie od polskiego” wydał po latach takie właśnie owoce. Powiadają, że nieładnie drwić sobie z cudzego niepowodzenia, ale gdyby każdy, kto tak mówi, musiał tak jak ja, w trzeciej klasie szkoły podstawowej napisać za karę 200 razy: Chińczyk źłapie herbatę – na pewno zmieniliby zdanie. Zupełnie nie wiem po co mielibyśmy nadal dublować pisanie liter, których wymowa nie różni się już od siebie. W imię czego? W imię pamięci o naszych przodkach?



Tylko, że nasi przodkowie najpewniej wzruszyliby ramionami na taką pamięć o sobie. Oni chcą pamięci, ale nie tak wyrażonej. Oni tak pisali, bo tak wtedy mówili. Ich mowa różniła się od naszej dość wyraźnie. Do zapisu dźwięków tej mowy potrzebne im było osobne „u” i „ó”, „rz” i „ż”, „h” i „ch”. Wtedy tak, ale teraz? Po co ten cyrk? Nikt już nie wróci do poprzedniej wymowy, nawet jej najwięksi entuzjaści nie potrafią tych różnic wymówić, ale ludzie, którzy nie umieli niczego innego poza polską ortografią, tym właśnie trzymali cały naród za pysk. Prześladowali, wyszydali, podkreślali na czerwono. Pchali się naprzód przed wszystkich, pewni swojej nad nami przewagi. Jak dzisiaj słyszę jeszcze te słowa wypowiedziane z sadystycznym uśmieszkiem: „A teraz napiszemy DYKTANDO!!” Otóż już nie napiszemy. Obejdzie się.

Zapis fonetyczny, pisany ze słuchu, pozbawiony nieczynnych już starożytności, wcale nie musi szokować. Teraz właśnie tak do Państwa piszę i co? Nie rozumiecie mnie? Pszczecież tak jest dużo łatwiej pisać, bo bez ciągłej obawy o popełnienie śmieszności, a i czytanie takiego zapisu pszyhodzi dużo łatwiej. Tszeba się tylko do tego trochę pszyzwyczać. Bzdurą jest twierdzenie, że tym sposobem odetniemy się od całej literatury pisanej tradycyjnie. Jak ktoś będzie chciał, przeczyta zapis tradycyjny bez wielkiego poświęcenia ze swojej strony. Jak ktoś nie będzie chciał, tego nasi zacni profesorowie ani nie namuwiają, ani nie zmuszą do czytania. Co więcej! Wydaje się, że teraz dopiero studiowanie JĘZYKA POLSKIEGO, jako pszedmiotu, nabitież należytego sensu.

KG

Czy lwowska dziesiątka wróci do swego przedwojennego patrona

W jeden z wiosennych czwartków w szkole nr 10 z polskim językiem nauczania we Lwowie, gościli dyrektorzy szkół z całego halickiego rejonu miasta. Była to kolejna wymiana doświadczeń pedagogicznych.

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

W przerwie między obradami i udziałem w wykładach polskich nauczycieli, była możliwość zapoznać się też z działalnością komitetu rodzicielskiego oraz organizacji społecznych, które współpracują ze szkołą. Była też oryginalna pauza artystyczna w wykonaniu uczniów szkoły.

„Recytują po ukraińsku bez żadnego akcentu” – usłyszałem zdziwiony komentarz niektórych dyrektorów. „Takiego układu rodzinnego zaistniałego tu przez kilka pokoleń niema w żadnej szkole Lwowa” – nie ukrywali swych spostrzeżeń goście. – Co najwięcej nas zdziwiło? To, że uczniowie w „dziesiątce” są bardzo grzeczni, a dziewczyny bez makijażu, bez manikiuru”, – oświadczyli dyrektorzy lwowskich szkół.

– To nie jest klasztor, jednak w szkole musi być porządek – wyjaśniała dyrektor Marta Markunina. – Mamy swoje dobre tradycje. Może nie wszystkim się to podoba, jednak tak ma być – zaznaczyła.

„Nigdy nie byłam w tej szkole, i teraz mam takie wrażenie, że te kilka godzin spędziłam za granicą, w dobrym sensie tego słowa” – nie ukrywała swoich emocji jedna z od-



Dyrektorowie i konsul Marian Orlikowski (w centrum)

wiedzających szkołę dyrektorek, pani w średnim wieku.

Konsul RP we Lwowie Marian Orlikowski opowiedział w jaki sposób konsulat wspiera szkołę oraz poinformował o projektowanych wystawach na Euro 2012.

Tetiana Czernenko, wicedyrektor szkoły nr 52 w rozmowie z korespondentem Kuriera dodała, że jej szkoła, z rosyjskim językiem nauczania znajduje się w podobnej sytuacji, ponieważ pomaga im konsul Federacji Rosyjskiej we Lwowie, a od strony duchowej dziećmi opiekuje się Ukraińska Cerkiew Prawosławna Patriarchatu Moskiewskiego.

„Nasza szkoła im. Markijana Szaszkewicza – mówił jej dyrektor

Roman Hrynczuk też ma partnerów w Polsce. Przede wszystkim zaprzyjaźniliśmy się z ukraińską szkołą im. Szaszkewicza w Przemyślu, a także ze szkołą w Żurawicy. Są spotkania dzieci i nauczycieli”. Z ciekawości zapytał, czy polska szkoła nr 10 miała kiedyś swego patrona. Wyraził zdziwienie, że do dziś nie przewrócono jej nazwy św. Marii Magdaleny, chociaż wśród lwowskich Polaków nadal nazywa się ją nadal „Magdusia”. Roman Hrynczuk, który jest dobrze znany w kręgach społecznych miasta, obiecał ze swej strony pomoc i poparcie w staraniach całego zespołu „Magdusi” o przywrócenie jej przedwojennej nazwy.

KG

Powrót do Białych Chorwatów

Po ostatnim posiedzeniu galicyjskiego klubu dyskusyjnego „Mytusa” zastanawiam się, czy i w moich żyłach nie płynie jakaś cząstka krwi, dalekich nam, Białych Chorwatów.



Wołodmyr Pawliw (od lewej) i Orest Korczyński

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcie

W ciągłym poszukiwaniu tożsamości galicmenów, „Mytusa” z Wołodmyrem Pawliwem na czele, zagłębiła się już w mroczne otchłanie wieków VIII-X. Tym razem dzięki pomocy dr Oresta Korczyńskiego, znanego ukraińskiego archeologa, który zwrócił naszą uwagę na Białych Chorwatów. Według licznych źródeł historycznych, a również badań własnych, prelegent jest przekonany, że to plemię słowiańskie zasiedlało obszar od Zbruczu na wschodzie do Wsłoka na zachodzie, co mniej więcej pokrywa się z granicami przyszłego Księstwa Halicko-Włodzimierskiego. Zdaniem naukowca, stolica Białych Chorwatów znajdowała się w okolicach dzisiejszej wioski Stulsko koło Mikołajowa nad Dniestrem. Właśnie tam na początku lat 80. XX wieku lwowski archeolog Orest Korczyński natknął się na ślady bardzo wielkiego grodu. Określa go jako megapolis, ponieważ dookoła istniało wiele mniejszych osad. Była to sensacja, poważnie przyjęta przez Akademię Nauk w Moskwie i Kijowie, a także za granicą, w tym i w Polsce.

Co stało się z mocarstwem Białych Chorwatów, jeżeli istniało ono naprawdę? – nie przestają padać pytania ze wszystkich stron i na różnym poziomie.

Dr Orest Korczyński stwierdza, że na prośbę cesarza bizantyjskiego Herakliusza wojsko Białych Chorwatów na początku VII wieku walczyło z najazdem Awarów na Balkany, a po zwycięstwie nad nimi jako „wynagrodzenie” otrzymało ziemie w bizantyjskiej prowincji Dalmacja. Tam też się przesiedlili, tam założyli Chorwację. Chorwaci mają różne hipotezy odnośnie swego pochodzenia. Nawet takie, że ich przodkowie przyszli z Persji. Natomiast jeszcze 20 lat temu podczas wyjazdów do Chorwacji zauważyłem, że w języku literackim tego narodu jest wiele słów z pokuckiej gwary mojej babci, używanych również współcześnie przez Huculów, Bojków i Rusinów Podkarpackich z terenów obwodu zakarpaccyjskiego i wschodniej Słowacji. Podczas Festiwalu etnograficznego w Lipowlanach na Sławonii byłem zaskoczony, gdy zobaczyłem

taniec ludowy absolutnie podobny do jednego z tańców, który w okolicach Horodenki nad Dniestrem opisała kiedyś Danuta Demkiw, założycielka zespołu „Pokuttia” w Kołomyi. Potwierdzili to obecni na tej imprezie choreografowie z lwowskiego zespołu „Junost”.

„Przybyłem do ziemi naszej pradomoviny (praojczyzny)” – zaznaczył śp. chorwacki kardynał Franjo Kuharić, z którym rozmawiałem podczas jego wizyty do Lwowa w 1995 roku. Jeżeli taki wysoki duchowny, jak Franjo Kuharić, tak twierdził, to częścią i my w Galicji mamy prawo na spadek po prawie nie znanych nam Białych Chorwatach.

Kiedyś w Przemyślu mój przyjaciel, też już nie żyjący, architekt Rościśław Stepaniak, oprowadzając lwowskich dziennikarzy po swojej działce w okolicach Kopca Tatarskiego, pokazywał ślady długich rowów pozostałych po dawnym wielkim grodzie. Może z tych czasów pochodzą rotundy – świątynie, które ochrzczony lud słowiański wznosił na tych ziemiach? Jedną z nich, w Użgorodzie, przetrwała do naszych dni. Fundamenty takich chrześcijańskich świątyn archeolodzy znaleźli też nad Sanem i w okolicach Balatonu. Możliwie, że klucze do pełnej tajemnicy historii Białych Chorwatów, leżą gdzieś pod korzeniami wspaniałych buków w lesie koło Stulsko, gdzie dr Orest Korczyński przebadwał niespełna 0,3% powierzchni starego grodziska.

Dzięki dr Korczyńskiemu mała wieś Stulsko była znana na cały ówczesny świat. Przyjeżdżają do stolicy swej pradomoviny też naukowcy i turyści z Chorwacji. Niestety odkrywca tego historycznego miejsca, jest pozbawiony możliwości kontynuowania prac archeologicznych i prowadzenia badań.

„Od lat moja ekspedycja archeologiczna nie dostaje żadnego finansowania od państwa ukraińskiego – wyjaśniał dr Orest Korczyński. – Jestem w ogóle bez pracy. Jest to nie do porównania z tym, co widziałem w sąsiedniej Polsce, gdzie prowadziłem wykłady na wyższych uczelniach. Razem z polskimi kolegami uczestniczyłem w wykopaliskach. Tymczasem Stulsko czeka na mnie i nowe pokolenie młodych archeologów”.

KG

JAK KSZTAŁTOWAŁY SIĘ GRANICE POLSKI

W jaki sposób rozwijały się granice Polski i skąd się one tak naprawdę wzięły? Zarys terytorialny to pojęcie praktyczne, oznacza, że tu mieści się Państwo Polskie, polskie terytorium państwowe. Ale ma on także znaczenie symboliczne. Wychowujemy się w kształcie naszych granic. Nasi dziadkowie, rodzice wiedzieli przed wojną gdzie się Polska zaczyna, a gdzie kończy. Teraz, przycięci o połowę, też musimy przyrosnąć do nowego miejsca i z tym dziedzictwem wchodzimy w mapę współczesnej Europy. Ona też jest naszą Ojczyzną.

z KRZYSZTOFEM JABŁONKA, historykiem, podróżnikiem, b. dyplomatą, dziś pracownikiem Muzeum Józefa Piłsudskiego rozmawiał WOJCIECH JANKOWSKI.

Jak kształtowały się wschodnie granice naszego kraju?

Trzeba je rozpatrywać na tle całych granic. Otóż jesteśmy pewnym fenomenem w Europie, państwem, które wyszło z jasno określonych granic i do nich powróciło. Tyle tylko, że z pewnym historycznym dziedzictwem. I o tym chciałbym Państwu dziś opowiedzieć.

U progu zjednoczenia ziem piastowskich, za Mieszka I, granice państwa zostały opisane w jednym z dokumentów, złożonych w Stolicy Apostolskiej. Nazywa się ten dokument dość dziwnie „Dagone ludex” i pod taką nazwą wszedł on do historii. Co to znaczy jest na to kilka teorii: że Mieszko I mógł mieć na imię Dagon, że jest to eligatura, czyli źle odczytane, bądź sklejone słowa ego mesco dux. Wszystko jest możliwe. W tym dokumencie, nasz książę ze swoją żoną Odą, ofiarowują swoje państwo Stolicy Apostolskiej w duchowe lenno. W średniowieczu operowało się takimi terminami. Nie oznaczało to lenna politycznego. Oznaczało to opiekę stolicy Apostolskiej. Takich krajów w Europie było pięć. Pierwszym takim krajem, który zrobił światową karierę była Anglia – osobiste państwo papieża Grzegorza Wielkiego. Myśmy byli drugim takim krajem. Trzecim – Węgry. I jeszcze Królestwo Obojga Sycylii, no i państwo kościelne. W ówczesnej feudalnej Europie były takie duchowe wyjątki. Ten dokument jest o tyle ważny (dodam od razu, że sam dokument się nie zachował, istnieje tylko jego streszczenie), że zachował się w nim zarys terytorialny. A więc od granic Prus do granic Rusi. Dalej jest bardzo ciekawy wyjątek – wymieniony jest Kraków. Co oznaczałoby, że Kraków jeszcze nie załapał się na państwo piastowskie. Być może, w Krakowie władcą był Chrobry, jako submonarcha, czyli podporządkowany. Dalej granica trafia na Bramę Orawską, gdzie jest bardzo ciekawa nazwa – Alemura, która może pochodzić od łacińskiej nazwy Olomuńca, który już wtedy istniał. Dokument jest datowany na rok 991 rok. Jest to więc przed śmiercią Mieszka i jest to zarazem jego testament. Dalej granica górami trafia do rzeki Odry i rzeką do miejscowości, którą niektórzy odczytują jako Gniezno, ale niektórym przypomina Szczecin. No i mamy pewien zarys, który daje się sprowadzić na mapę. Mamy zapis, który obok Konstytucji Majowej, jest najważniejszym do-

kumentem w naszej historii. Jest to dziedzictwo, z którym rozpoczynamy naszą historyczną epopeję. Pierwszą poważną zmianą jest przyjęcie roli współcesarza przez Chrobrego. Chrobry jest zaproszony przez papieża Sylwestra II i jego ucznia i koadiutora cesarza Ottona III do stworzenia czwartego członu monarchii chrześcijańskiej. Zjazd gnieźnieński jest tego ukoronowaniem. Stała się tam rzecz, która zgorszyła Niemców strasznie, mianowicie włożenie korony cesarskiej na skronie Chrobrego. Nazywano to koronacją. Koronacja to nie było, ale było symbolicznym znakiem, że wszyscy jesteśmy poddani jednej koronie chrześcijańskiej. Rodzi się *imperium christianum*, które ma objąć wszystkich chrześcijan jednym prawem, niezależnie od różnic dzielących ich wewnętrznie. Miały zniknąć te straszliwe boje o granice pomiędzy Germanami a Słowianami. Papież Sylwester II pierwszy zrozumiał co to różnice etniczne. Planował Europę w powiązaniu z jej historią, ale na jej filarach etnicznych: a więc na dawnym Rzymie, który stanowił podstawę, i trzech innych filarach – Galii (dziedzictwo celtyckie), Germanii i Sławonii (Słowianie Zachodni).

Po nagłej śmierci Ottona, Chrobry realizuje ten program i jednoczy pozostałych Słowian. Bardzo błędnie pisało się u nas, że podbija, przyłącza do Polski. Ale było odwrotnie. Słowacja i Morawa tkwią przy Chrobrym i chcą być razem z jego królestwem i tworzyć zachodnio-słowiańskie imperium. Czechy też na moment zostały przyłączone do tego imperium, bo Chrobry też był i Czechem i te ziemie mu się należały. Jednak po pewnym czasie Germania wsparła Czechy i one odłączyły się, co doprowadziło do rozpadu całej reszty. Przy Chrobrym pozostają Słowianie Pomorscy i Łużycanie. Chrobry bije żelazne słupy na rzece Solawie, gdzieś pomiędzy dzisiejszym Weimarem a Drezdnem. Tam miała być granica Sławii, czyli Słowian od Germanii, czyli dzisiejszych Niemców. Niestety, całość imperium się rozpadła i Chrobry musiał się koronować ponownie, już na władcę Polski.

W następnych latach królestwo polskie zaatakowane jest z czterech stron, traci Grody Czerwieńskie i Łużyce, Polacy oddają Węgrom Słowację. Wreszcie wycofują się za Karpaty i tak pozostaje do dziś. Karpaty są naturalną, najstarszą i najtrwalszą naszą granicą

Ta granica, o której mielibyśmy mówić dziś była bardzo ruchoma. Jak wyglądało sąsiedztwo na Wschodzie? Z Rusią i Litwą?

Wtedy jeszcze nie sąsiadowaliśmy z Litwinami. Pomiedzy nami byli



Krzysztof Jabłonka

jeszcze Prusowie, Galilowie i Jądzwingowie. Jądzwingowie byli plemieniem, które nie siało, nie zbierało, tylko najężdżało. Jądzwingowie dokonują gigantycznego najazdu na Królestwo Polskie i wpadają w pułapkę. Dzięki kontaktom z Trojdenem Litewskim dowiedzieliśmy się, gdzie będą przekraczać z 30 tys. jeńców Niemen. W 1282 w bitwie pod Hożą nastąpiła zagłada mężczyzn z plemienia Jądzwingów. A w dalszych latach kobiety uprowadzili Krzyżacy. Wtedy uzyskaliśmy bezpośrednią granicę z Litwą.

Najwięcej sporów wywołuje chyba granica wschodnia z Rusinami?

To jest najciekawsza granica i wywołuje najwięcej kontrowersji. Jest ciekawa rzecz. Mianowicie Czesi, Słowacy i Morawianie twierdzą, że tereny dzisiejszego Podola, Wołynia i Rusi Czerwonej należały do Wielkiej Morawy. Jest zapis dotyczący wyposażenia biskupstwa praskiego z granicą na rzece Styr (Wołyń). Wiemy, że te tereny zamieszkiwało plemię Dulebów, bardzo zagadkowe, które rozbili jeszcze Awarowie. Uciekając, część tego plemienia przeszła do Czech. Tatarzy, którzy uderzyli na Wschód w XIII wieku wepchnęli na te obszary olbrzymią ilość ludności ruskiej. Po raz pierwszy te tereny podbił Włodzimierz Wielki w roku 981. Było to nasze pierwsze starcie z Rusinami.

„Poszedł Włodzimierz na Lachy...”

Właśnie. Figurują w tym zapisie dwie miejscowości – Peremyśl i Czerwień. Peremyśl jest tłumaczony na dwa sposoby. Jeden to znany nam Przemyśl, a drugi to gród Peremy, który leży na przeprawie przez Styr na szlaku z Kijowa przez Sandomierz do Krakowa. Kolejność wymienienia tych miejscowości sugeruje, że

to właśnie o to miasto chodzi. No a na Bugu jest Czeremno, czyli dawny Czerwień. Układa się to w logiczną całość i wielu uczonych robi poprawkę. Samo stwierdzenie „...że lachom odebrał” świadczy że to były nasze grody, a ściślej – Wielkiej Morawy, po której odziedziczyliśmy je w spadku. Te tereny przechodzą kilkakrotnie z rąk do rąk: wyprawa Chrobrego na Kijów, potem ponowne odbicie Grodów Czerwieńskich przez Rusinów. Z czasem wytwarza się tam dwójkultura. Po rozłamie chrześcijaństwa są tam parafie zachodniego i wschodniego obrządku. Przez dłuższy czas na tych terenach nie przyjmowano do wiadomości podziału chrześcijaństwa.

W XIII wieku dochodzi do Unii Lińskiej, która była zapowiedzią unormowania stosunków pomiędzy kościołem prawosławnym a katolickim. W tym momencie dochodzi do małżeństw przedstawicieli Piastów i Rurykowiczów. Przykładem tego jest panowanie na Rusi Halickiej księcia Bolesława Trojdenowicza, księcia mazowieckiego. Tak władcy katolicycy stali się prawosławnymi władcami Rusi Halickiej.

Po tajemniczej śmierci księcia Bolesława Jerzego Trojdenowicza, zgodnie z prawem feudalnym jego ziemie przejął Kazimierz Wielki. Wielu historyków, w tym i Jasienica, stwierdzają, że było to połączenie dwóch państw: Kazimierz Wielki stał się Hospodarem Kazimirem i bił monety na Rusi halickiej. W tym momencie powstaje Korona. Nie jest tym samym co Polska. Jest to połączenie dwóch państw – Polski i Rusi Czerwonej. Z czasem Tereny Rusi halickiej mają do wyboru czy zostać województwem czy księstwem Korony. Przez antagonizm możnowładców i szlachty, która opowiedziała



się za województwem, bo mogła wybierać i decydować, powstało województwo Ruskie, Halickie, Czerwonoruskie, które dotrwało do zaborów i nigdy nie zmieniło nazwy. Z tym, że granica etniczna usytuowała się gdzieś w okolicy Przemyśla.

Ludność na tych terenach stale się przemieszczała. W ciągu 400 lat olbrzymia ilość ludności znad Bugu przemieściła się aż za Zbrucz, a szczytami Karpat w przeciwnym kierunku ruszyli Karpato-Rusinowie, czyli nasi Bojkowie i Lemkowie, docierając aż do Tatr.

Niektórzy Ukraińcy twierdzą, że ich tereny sięgają aż pod Kraków.

Mówię im na to, że nasze pod Kijów. Plemię, które założyło to miasto nazywało się Polanie. Ciekawe też według Nestora jest pochodzenie Rosjan. Piszcie on: „Z Lachów wyszli Wiatycze i Radymicze i zasiedli te ziemie”, na których później powstała Rosja. Tak, że jesteśmy pobratymcami. Dzisiaj jedynie Czesi i Słowacy uważają, że kolebką wszystkich Słowian są ziemie Goplan, czyli ziemie polskie i do nich się odwołują. Na Rusi wykształcono inną teorię, że to pewnie jest Polesie, gdzie są błota i nikt nie wiedział co tam jest.

Jak ziemie wschodnie stają się częścią wspólnego państwa? Przez Litwę. W pewnym okresie doszło do bardzo zaciętych walk z Litwinami o Wołyń. W Horodle w 1368 roku pojednano się. Kazimierz Wielki i książę Olgierd uścisknęli sobie dłonie i zawarli coś na kształt wieczystego przymierza. W tym czasie duża część rycerstwa polskiego bierze udział w wyprawie Olgierda na... Moskwę. Wtedy po raz pierwszy Polacy zobaczyli Moskwę.

W momencie połączenia się – a nie przyłączenia – obu państw powstaje szczególnie układ: Korona – to jest Polska i Ruś Czerwona przedłożona do Kijowa i Litwa z ziemiami białoruskimi. Powstaje czwórliste państwo: Polski, Litwy, Białej i Czerwonej Rusi. My, Polacy, jesteśmy jednymi z dziedziców tego dziedzictwa i musimy nauczyć się z tym obchodzić. Bo inaczej będzie jak z tą skrzynią z krzyżackim skarbem, którą otwierały cztery klucze. Na razie te skarby dziedzictwa są dla nas nieosiągalne. Może nasze wnuki zejdują się kiedyś i otworzą ten skarb. A skarb ten to jądro Europy,

Reporter powinien poznawać świat wszystkimi zmysłami

W marcu na Ukrainie zaprezentowano książkę Jacka Hugo-Badera pt. „Biała Gorączka” w przekładzie na język ukraiński Ostapa Slywyńskiego. Jest to zbiór reportaży ze świata marginesu społecznego byłego Związku Radzieckiego, m.in.: Moskwy, azjatyckiej części Rosji, Donbasu, Krymu, Naddniestrza. Z miłośnikami literatury faktu reportażysta Gazety Wyborczej spotkał się w Kijowie, Doniecku i we Lwowie.

JULIA ŁOKIETKO
tekst i zdjęcia

Jest to książka, której nie można czytać i której nie można nie czytać

„Usłyszałem to od swej znajomej, chyba jednej z pierwszych czytelniczek ukraińskiego tekstu, – opowiada Ostap Slywyński, ukraiński poeta, tłumacz i krytyk literacki. – Bardzo ciężko mi było zacząć tłumaczyć „Białą Gorączkę”, zmusić się do wejścia w ten świat. Świat ciężki i pełen zła. Zła, które nie jest po prostu nieobecnością dobra. Zła, które rzeczywiście w świecie istnieje. Zło rozlewa się po tej książce i przenika w życie prawie wszystkich jej bohaterów. Kiedy już tam jesteś, ciężko jest wrócić do siebie. Jak już wciągnąłem się w przekład, ciężko mi było nawet po prostu pójść na spacer. Jest to bardzo potrzebne, chociażby po to, by przewietrzyć myśli. Książka wymaga tego od czytelnika. Jest bardzo nasyciona, przepelniona głębokim tragizmem”.

„Jest to opis postsowieckiej rzeczywistości w perspektywie osoby z Zachodu, człowieka zdolnego pojąć to wszystko ponieważ sam już coś podobnego doświadczył, – komentuje „Białą Gorączkę” Hugo-Bader. – Jest to opowieść o Rosji, której Rosjanie wolą nie znać. Książka nie została przetłumaczona na język rosyjski, choć miałem taką umowę z wydawnictwem „Komsomolska Prawda”. Jednak ktoś przetłumaczył na język rosyjski i puścił w sieci tekst „Bomżycha”, który ukazał się wcześniej w Gazecie Wyborczej. Mnóstwo ludzi go przeczytało. „Dlaczego zajęłeś się tym tematem? Przecież jechałem z Moskwy do Berlina i przez okno pociągu zobaczyłem na Dworcu Centralnym w Warszawie takich bomżów, że miałbyś co robić przez dziesięć lat. Dlaczego poniewierasz naszą rosyjską ojczyznę?” – pisał jeden z uczestników dyskusji. Wieszali na mnie psy tylko dlatego, że się zająłem tym tematem. Dlatego, że tak strasznie naturalistycznie to opisałem. No bo inaczej się nie da. Rosjanie doskonale znają prawdę o sobie. Nie chcą żeby Polak o tym pisał. Niech by jeszcze Amerykanin pisał. No Niemiec niech pisze. Ale nie Polak, albo nie Estończyk, a Gruzin – to już na pewno nie, z pewnością Ukrainiec też nie. Uwielbiam Rosjan, ale to są ludzie, którzy całe życie żyli w wielkim mocarstwie i którzy uważają, że rozmiar ma znaczenie. Co wolno wielkiemu, małemu nie wolno”.

Spotkanie z Hugo-Baderem okazało się prawdziwym wykładem ze sztuki reportażu. Prezentując książkę, opowiadając o swej pracy, polski dziennikarz wplatał w legendę



Jacek Hugo-Bader we Lwowie

elementy posiadające bardzo ważne znaczenie dydaktyczne, zwłaszcza dla początkujących dziennikarzy. Było to zarazem omówienie fenomenu, jakim jest reportaż.

Pierwsza wizyta w Rosji. Materiał o Michaiile Kałasznikowie i grzech śmiertelny reportera

To było bardzo traumatyczne przeżycie. Był rok '93. Skończyłem PRL-owską szkołę, w której język rosyjski był przedmiotem obowiązkowym. Paradoksalnie – im bardziej nas go uczyli, tym mniej go znaliśmy. Później uczyłem się języka rosyjskiego żyjąc wśród Rosjan – błyskawicznie wchodzi do głowy. Wtedy fatalnie mówiłem po rosyjsku, a Kałasznikow „gluchy jak pień”. Nasza rozmowa trwała bardzo krótko. To była straszna rozmowa nie tylko dlatego, że nie mogliśmy się dogadać. Miałem pytania wypisane na kartce, okropne. Popelnilem szereg błędów psychologicznych. To był pierwszy Rosjanin, z którym rozmawiałem w życiu. Pierwszy okupant, który wpadł w moje ręce. Musiałem go rozzerwać na strzępy i tak też zrobiłem. No a to oczywiście jest grzechem śmiertelnym reportera. Naszym za-

daniem jest słuchanie i pomaganie bohaterowi, żeby mu się lekko mówiło, a ja zrobiłem wszystko, by mu było trudno. Wygarnąłem mu cały żal zasranej młodości, zasranej historii, którą miałem za plecami – swojej własnej, moich rodziców, dziadków, tego wszystkiego, co w Polsce się stało po wojnie. Ale kogo to naprawdę obchodzi? Przecież tego w tekście nawet nie było. Po co to zrobiłem? Bez sensu, naprawdę. Wyrzucił mnie po dwóch godzinach. A ten człowiek jest żywą historią. Mogłem z nim siedzieć dwa tygodnie i on miałby co mówić. Zmarnowałem temat, chociaż w pracy nikt tego nie zauważył. Wszyscy mi gratulowali, że dopadłem takiego człowieka i go odpytałem. Ale w duszę mu nie zajrzałem!

Reporter, który nie ma szczęścia, nie ma czego szukać w zawodzie

Pewnego razu wpadł mi do rąk „Reportaż z XXI wieku”. Dziennikarze rosyjskiego pisma „Komsomolska Prawda” opisują w tej książce jak będzie wyglądał Związek Radziecki za 50 lat. Dzieło powstało w 1957 r. Jak pojechałem do Moskwy, zacząłem badać tę sprawę. Okazało się, że prawdopodobnie idea po-

wstania książki zrodziła się 9 marca, ok. godz. 13:00. Dokładnie wtedy, kiedy się urodziłem.

Pomyślałem, że zrobię sobie prezent urodzinowy – przejadę szlakiem bohaterów tej książki i zobaczę na ile autorom udało się przewidzieć przyszłość. Mieli podróżować kosmoplanami... Wymyśliłem sobie, że powinienem podróżować tak, jak obecnie podróżuje się po Rosji. Kupiłem w Moskwie „UAZika” i postanowiłem nim przejechać kraj do Władywostoku, ruchem konika szachowego, po tematach, które już miałem wymyślone.

Później wszystko rozdziło się samo. Główny temat, czyli reportaż pt. „Biała Gorączka”, wpadł mi w ręce przypadkowo. W Moskwie spotkałem kobietę, która w cztery minuty opowiedziała mi swoją historię. Czasami reporter musi szybko chwycić i ocenić materiał. Błyskawicznie postanowiłem, że za parę miesięcy pojedę do niej te kilka tysięcy kilometrów na Sybir. „Ty wiesz ilu ludzi mi już to obiecało, a żaden nie przyjechał?” – powiedziała. No, a ja przyjechałem i powstał tekst. Bardzo ważne, by reporter miał szczęście. Moja szefowa w dziale reportażu Gazety Wyborczej powiedziała, że reporter, który nie ma szczęścia, nie ma czego szukać w

zawodzie. Szczęście musi ci pomagać. Jak reporter kogoś szuka, to musi go znaleźć. To nie jest przeznaczenie albo szczęście, które przychodzi do Ciebie z kosmosu. Szczęście jest wypadkową nakładu pracy i determinacji.

Od 20 lat jeżdżę do Rosji i naprawdę wcale nie jest łatwo mnie zaskoczyć. W życiu widziałem już prawie wszystko. W podróży jednak każda chwila cię zadziwia. Strasznie łatwo się zaprzyjaźnia i to jest dla mnie największą zapłatą w tym zawodzie. Uwielbiam poznawać ludzi. To bardzo boleśnie zabrzmi – nasze znajomości są bardzo intensywne, ale bardzo krótkotrwałe. Czytelnicy widzą moją bliskość z bohaterami – ludźmi, których spotykam. Pytają, czy nie jest mi żal. To rzeczywiście wygląda jak nieudane małżeństwo – wykorzystasz i porzucasz. To jest wpisane w zawód. Co się zdąży w kimś zakochać, to już muszę go opuścić. Ale za to nasze znajomości są takie intensywne, że można nożem kroić.

Jedną z taktyk reporterskich, jakie praktykuje Jacek Hugo-Bader, jest reportaż wcieleniowy

Nie jest łatwe uprawianie tego gatunku reportażu. Przestajesz być sobą, wchodzisz w cudzą skórę, jesteś kimś innym. Wielu dziennikarzy nie szanuje tego gatunku. Uważa, że jest robiony dla hety, że reporter stara się siebie lansować. Oczywiście, tak byłoby, gdyby ktoś zajmował się tylko tym, ale to jest niemożliwe.

Pracowałem wcieleniowo może pięć razy w swoim życiu. Z przyjemnością trzy razy wcielałem się w rolę bezdomnego – dwa razy w Polsce, raz w Moskwie. W Polsce zrobiłem to bardzo radykalnie, tzn. na miesiąc poszedłem w miasto zupełnie bez niczego. Jedyne co miałem, to dyktafon, bo mam dziurawą głowę i muszę wszystko notować.

Reporter powinien poznawać świat wszelkimi możliwymi zmysłami. Poza tym, że słucha, patrzy, to też powinien spróbować na własnej skórze jak to smakuje. Jak to jest, kiedy zjesz tylko tyle, ile uda ci się wyżebrać? A ile ci się uda wyżebrać? Kto ci lepiej powie, jak sam nie spróbujesz? Każdy może cię okłamać. Wydaje nam się, że bezdomni to lenie i nieroby. Nie wyobrażacie sobie jak ciężkie jest życie bezdomnego, jak ciężką jest praca żebraka, jak zimne są płyty chodnikowe, na których siedzisz. Jak to jest z zapachem, kiedy nie myjesz się przez miesiąc? Czy można go znieść? Przecież to jest nie do wytrzymania, przecież po miesiącu człowiek śmierdzi. W pewnym momencie po prostu przestajesz

czuć. Na jakiej zasadzie? Dlaczego przestajesz czuć swój własny smród? Tego wszystkiego nie dowiesz się, jeśli nie zasmakujesz. Staram się to tłumaczyć kolegom po fachu, czasem znanym polskim reporterem.

Reportaż wcieleniowy to ważny gatunek dziennikarski i reporterski, ale jeśli ma uzasadnienie. Nie można tego robić dla żartu. To jest bez sensu. Musi być realny, wytłumaczony powód, dla którego wcielasz się w tę skórę.

Nie wolno ci oszukać twoich bohaterów

Uprawiając reportaż wcieleniowy, masz jeden problem. W pewnym momencie biorę na stronę kolegę, z którym śpię w jednej branie, na jednej klatce schodowej i z nim rozmawiam. Wypruwam z niego całą jego historię. Przecież on musi wiedzieć kim jestem! Muszę się wysypać.



„Biała Gorączka” w języku ukraińskim

Często bywa tak, że rozmawiamy z bohaterem i on mówi: Ja ci to opowiedziałem, ale o tym nie pisz. Nie lubię jak mi to ludzie mówią, bo mi się robi wyrwa w materiale, ale to jest najświętsze prawo bohatera. Bardzo ważne, żeby on mi to powiedział i żebym o tym nie zapomniał. Tego nie wolno mi sprzedać i nie ma innego wyjścia. Możemy się dogadywać, jeżeli czuję, że to jest bardzo ważny kawałek materiału. Może to jakoś powiem inaczej, zakamufluje, ale rozmawiamy o tym i dogadujemy się.

Pisać tak naprawdę warto tylko o ludziach

Oglądali Państwo film Wernera Herzoga o Antarktydzie? Podobnie napisałem książkę o Kolumbie. Podstawowym pytaniem, które zadawałem, było: Skąd się tam wziął? Po cholerę przyjechałeś w takie straszne miejsce? Po jakiego diabła? Przecież to jest, jak Rosjanie mówią, „biegun okrucieństwa”. A można tam żyć szczęśliwie? Płodzić dzieci, wychowywać je, pić wódkę, zarabiać pieniądze? Jak zarabiać? To podstawowe pytania, na które chciałem sobie odpowiedzieć w tym strasznym miejscu. Jak słyszę „Kołyma”, to mam ciarki. Musicie to dobrze rozumieć, bo tam strasznie dużo Ukraińców się znalazło. Do tej pory tam mieszkają. Co krok spotykałem jakiegoś Ukraińca. Bohater na okładce mej nowej książki o Kolumbie to Ukrainiec.

Przesłanie i czwarta władza

Nie jestem mocny w przesłaniach. Jestem opowiadaczem, a nie filozofem. Po prostu chcę, by u mnie w domu wiedzieli jak jest na Syberii czy też w Donbasie, czy w Mołdawii, czy w Naddniestrzu.

Jest dziennikarstwo interwencyjne. Bardzo łatwo wtedy jest przełożyć artykuł dziennikarski na załatwioną sprawę. Nie uprawiam takiego dziennikarstwa. Ale czy wyobrażacie sobie świat bez dziennikarstwa? Nie. Czy demokracja może istnieć bez dziennikarstwa? Też nie. Mamy cztery władze – ustawodawczą, wykonawczą, sądowniczą i dziennikarską. Bez tej czwartej pozostałe nie mogą istnieć. Opowiada im jak wygląda świat. Bo „one” nie wiedzą. Ci faceci i te babki od lat nie byli w księgarni. Od lat nie byli w barze mlecznym. Oni już nawet nie chodzą po ulicach. Nie wiedzą, co jest zepsute, gdzie i komu się dzieje

Mam fioła na punkcie Wschodu. Przy okazji piszę mnóstwo tekstów o Polsce. Zajmuję się Rosją, ponieważ tak się wyspecjalizowałem. Mogę pojechać na Wschód nie przygotowując się specjalnie. Mógłbym napisać tekst o Afryce, tylko zanim tam pojadę, musiałbym strasznie dużo pracować, przeczytać milion książek. We wszystkim należy być profesjonalistą.

Nie ma nic gorszego dla reportera, jak przywyknąć

Proponowano mi kilka razy w redakcji żebym został stałym korespondentem w Rosji. Miałbym biuro, mieszkanie i pisał o tym, co widzę. Tylko żebym pojechał. Nie ma mowy. Jako reporterowi, kompletnie mi to nie odpowiada. Przywykłym. Nie ma nic gorszego dla reportera, jak oswoić się, przestać się dziwić. Jeżeli jesteś na miejscu, przestajesz się dziwić. Nie wiesz, że coś jest nie tak, bo masz to zawsze. Za każdym razem, jak jadę do Rosji, to się dziwię i o tym piszę.

Kocham swój kraj

Codziennie rano się budzę i jestem szczęśliwy, że żyję w wolnym kraju. Możesz sobie powiedzieć co chcesz, możesz robić co zechcesz... To niesamowite uczucie można poznać tylko wtedy, kiedy się żyło wcześniej w kraju zniewolonym. Nie ma szans, żebym, mógł mieszkać gdziekolwiek indziej.

Info:

Jacek Hugo-Bader (ur. 1957) – polski dziennikarz, reportażysta, pedagog z wykształcenia. Od 1990 r. pracuje w „Gazecie Wyborczej”. Jest autorem zbiorów reportaży: „W rajskiej dolinie wśród zielska” (2002), „Biała Gorączka” (2009) i „Dzienniki kołymskie” (2011). Hugo-Bader był dwukrotnym laureatem nagrody „Grand Press” (1999, 2003). W 2010 r. został uhonorowany „Bursztynowym motylem” za książkę „Biała Gorączka”.

Wywiad z autorem można odsłuchać pod linkiem: <http://tyzhden.ua/Culture/43125>

Fragment książki: http://issuu.com/yuribara/docs/b_g?mode=window&viewMode=doublePage



Zdrowych i pogodnych Świąt Wielkanocnych w prawdziwie wiosennym nastroju! Smacznego jajka i pogody ducha życzy redakcja Kuriera Galicyjskiego

RADIO WNET POLECAMY!

Słuchaj przez internet doskonałych programów warszawskiego Radia Wnet www.radiownet.pl

Program Wschodni w każdą sobotę o godz. 11:07 (czas ukr.)

Program wschodni jest radiową emanacją platformy, którą Radio Wnet przy współpracy Fundacji Pomoc Polakom na Wschodzie tworzy z polskimi redakcjami na terenie byłego ZSRR. Platforma pozwoli tym redakcjom współpracować i wymieniać się tworzonymi materiałami. Nasza współpraca obejmuje redakcje w następujących miastach: Równe, Lwów, Stanisławów (Iwanofrankisk), Winnica, Jej owocem jest Program Wschodni. Ponadto będą nas od-



wiedzać specjaliści od Wschodu z Polski. Program prowadzi Wojciech Jankowski.

Historia Wnet

w każdą sobotę o godz. 12:00 (czas ukraiński)

Doskonały program historyczny, w którym nie ma tematów tabu. „Pod sztandarem Radia Wnet rozmawiamy o historii. Zapraszam. Kontakt: Historia@radiownet.pl – napisał prowadzący program Piotr Dmitrowicz.



Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu: www.radiownet.pl

NA POLSKIEJ FALI POLECAMY!

NA POLSKIEJ FALI to nowa audycja radiowa w języku polskim na falach iwano-frankowskiego Radia Weża w paśmie 107 FM, a także w internecie na stronie: www.kuriergalicyjski.com



Program jest nadawany w każdą sobotę o godzinie 21:15 Program jest też powtarzany: w niedzielę o godz. 11:30 w poniedziałek o godz. 21:15 we wtorek o godz. 21:15 Wszystkie audycje (w tym archiwalne) są dostępne w internecie na portalu www.kuriergalicyjski.com

NA POLSKIEJ FALI to wspólna inicjatywa Kuriera Galicyjskiego, warszawskiego Radia Wnet oraz iwano-frankowskiego Radia Weża. Naszych słuchaczy zapraszamy do współpracy, dzielenia się z nami swoimi uwagami i tym, co chcielibyście usłyszeć. Piszcie do nas na mail kuriergalicyjski@wp.pl ZAPRASZAMY!!!

Radziecka sprawiedliwość, czyli tzw. proces szesnastu

Z dr. **RAFAŁEM DMOVSKIM** z Instytutu Historii i Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Przyrodniczo-Humanistycznego w Siedlcach rozmawia **ANDRZEJ SPRYCHA**.

Na początku 1945 r. przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego wiedzieli już, w jaki sposób Sowieci „dotrzymają słowa”. Znali przecież los choćby oddziałów AK z Wileńszczyzny. Dlaczego zatem 16 przedstawicieli podziemnych władz przyjęło od Rosjan zaproszenie na rozmowy?

Przywódcy Polskiego Państwa Podziemnego zostali aresztowani przez NKWD w Pruszkowie w dwóch grupach 27 i 28 marca 1945 r. Według mnie, zgodzili się oni na rozmowy, bo nie mieli innego wyjścia. Odrzucenie zaproszenia od gen. Iwanowa, bo pod takim pseudonimem występował wówczas gen. NKWD Iwan Sierow, zostałoby wykorzystane przez Rosjan propagandowo, jako przejaw złej woli władz Polski podziemnej wobec sojusznika „naszych aliantów” – czyli Anglii i Stanów Zjednoczonych. Tym bardziej, że spotkanie to miało się odbyć w celu opracowania metod współpracy pozostających w konspiracji przedstawicieli władz polskich z władzami radzieckimi. Ze polskiej strony mieli uczestniczyć w naradzie członkowie podziemnego rządu oraz przedstawiciele partii i stronnictw politycznych skupionych w Radzie Jedności Narodu, a ze strony radzieckiej przedstawiciele władz wojskowych z marszałkiem Żukowem na czele. Co więcej, zapewniano im swobodny powrót do domu, niezależnie od wyników wspomnianej narady. Niestety ustalenia te zostały zerwane.

Również władze emigracyjne kilkakrotnie polecały Delegaturze Rządu na Kraj nawiązanie rozmów z Rosjanami. Już 28 października 1944 r. premier Mikołajczyk wysłał depeszę do delegata Jankowskiego, w której sugerował konieczność zawarcia z Rosjanami porozumienia w najbliższym czasie, twierdząc, że nie ma innego wyjścia w świetle zajęcia terenów Polski przez Armię Czerwoną. 20 stycznia 1945 r. następca Mikołajczyka, premier Tomasz Arciszewski pisał do delegata rządu Jankowskiego: „Gdyby w biegu rozwijających się wypadków w Kraju doszło do prób rozmów z Wami przedstawicielami Sowieców, upoważniamy Was do ich podjęcia”. Było to ważne m.in. dlatego, że na arenie międzynarodowej, niestety bez udziału Polaków, ważyły się wówczas sprawy naszego kraju. 4 lutego 1945 r. rozpoczęła się w Jalcie druga konferencja Wielkiej Trójki, na której Stalin, Churchill i Roosevelt obradowali nad przyszłością Europy. Przywódcy mocarstw zdecydowali wtedy m.in. o przyszłych losach Polski. Postanowiono, że w Polsce

powstanie Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej, w którego skład mieli wejść przedstawiciele komunistów, jak i rządu emigracyjnego. Zdecydowano także o oddaniu Polski w strefę wpływów ZSRR, oddając wschodnie ziemie Związkowi Radzieckiemu.

Czy Sowieci liczyli na to, że aresztując podstępnie elity polskiej konspiracji, zlikwidują jednocześnie w zarodku rodzące się na ich oczach kolejne podziemie niepodległościowe, którego przedstawiciele nie chcieli przyjąć do wiadomości faktu, że Polska rządzić będą komuniści?

Być może tak, ale działań Sowieców nie da się jednoznacznie ocenić ani zrozumieć ich intencji. Podziemie niepodległościowe nie musiało się wówczas rodzić, powstało bowiem już w ostatnich dniach września 1939 r., a podczas wojny na ziemiach polskich działało aż około 400 różnych organizacji konspiracyjnych. Część z ich członków po zakończeniu okupacji niemieckiej rozpoczęła walkę z nowym okupantem – jak ze względu na represyjne działania w stosunku do ludności cywilnej i członków podziemia nazywano Armię Czerwoną i idące wraz z nią oddziały NKWD.

Po co Rosjanom był ten proces? Przecież mogli po prostu potajemnie rozstrzelać aresztowanych. Może chcieli w ten sposób upokorzyć świat zachodni? Czy nie świadczy o tym fakt, że na sali rozpraw jako swego rodzaju widzowie znaleźli się przedstawiciele ambasad brytyjskiej i amerykańskiej?

Świat zachodni, o którym Pan wspomina w pytaniu, nie interesował się zbyt losami 16 aresztowanych Polaków. Problemem stojącym przed aliantami była konieczność jak najszybszego zakończenia wojny. Już 15 grudnia 1944 r. sekretarz stanu Stanów Zjednoczonych Edward Stettinius pisał do ambasadora amerykańskiego w Moskwie, Williama Harrimana: „Przypuszczalnie obecny rząd polski nie będzie w stanie uczynić żadnego postępu w rozwiązaniu problemów polskich”, dlatego też w imię dobrej współpracy ze Związkiem Radzieckim „zapomniano” o Polakach.

Według ustaleń historyków ambasadorzy Wielkiej Brytanii i USA interweniowali w Moskwie w sprawie 16 aresztowanych, ale usłyszeli, że żadnego porwania nie było i że oskarżenia wysuwane wobec ZSRR przez Polski Rząd Emigracyjny to stek bzdur. Dopiero 5 maja 1945 r. Rosjanie oficjalnie podali do mediów wiadomość o aresztowaniu Polaków pod zarzutem „prowadzenia działań dywersyjnych na zapleczu armii sowieckiej”.

Założmy, że alianci zachodni zechcieliby jednak w tej sprawie interweniować na tzw. najwyższym szcze-



Rafał Dmowski

blu, a więc u Stalina. Byliby w stanie coś wskórać?

Historyk nie powinien „gdybać”, ma zajmować się faktami; dlatego też można stwierdzić jednoznacznie, że aliantom zachodnim zależało wówczas jedynie na pomocy Związku Radzieckiego w zakończeniu wojny z III Rzeszą i Japonią, a Polska przestała się dla nich liczyć jako sojusznik. Więc problem 16 aresztowanych przedstawicieli Polski Podziemnej był zbyt mało istotny, by zaognić stosunki pomiędzy aliantami zachodnimi a ZSRR. Pamiętajmy, co zresztą wspominałem powyżej, że w wyniku porozumień w Teheranie i Jalcie alianci oddali nasz kraj w sowiecką strefę wpływów.

Jak na radziecki wymiar sprawiedliwości, w procesie szesnastu zapadły stosunkowo „łagodne” wyroki...

Aresztowani przez NKWD członkowie polskiej delegacji po blisko trzymiesięcznym ciężkim śledztwie doczekali się procesu. Na ławie oskarżonych zasiadło 15 Polaków (Antoni Pajdak, wówczas ciężko chory, sądzony był później). 21 czerwca 1945 r., po trzech dniach procesu, Kolegium Wojskowe Sądu Najwyższego ZSRR w składzie: gen. płk W. Ulrich, mjr L. Dimitriew, płk J. Letistow uznał większość oskarżonych za winnych zarzucanych im czynów. Skazani zostali m.in.: gen Leopold Okulicki, Komendant Główny AK - na dziesięć więzienia, Jan Stanisław Jankowski, wicepremier – osiem lat więzienia, Stanisław Jasiukowicz, członek Krajowej Rady Ministrów – pięć lat więzienia, Kazimierz Pużak, Prezes Rady Jedności Narodu – półtora roku, Adam Bień, członek Krajowej Rady Ministrów – pięć lat więzienia, Alek-

sander Zwierzyński, prezes Stronnictwa Narodowego, wiceprezes RJN – osiem miesięcy więzienia.

Przewodniczącą składu sędziowskiego gen. Ulrich stwierdził, że sąd, wymierzając tak łagodne kary, wziął pod uwagę zwycięskie zakończenie wojny. Jednak trzech oskarżonych: Okulicki zmarł w więzieniu w wigilię 1946 r. (prawdopodobnie zamordowany), Jankowski zmarł w więzieniu 13 marca 1953 r. (na dwa tygodnie przed końcem wyroku, również prawdopodobnie zamordowany), a Jasiukowicz zmarł w więzieniu kilka dni przed zakończeniem kary. Pozostali, poza Bieniem (wrócił w 1949 r.), powrócili do Polski w 1945 r. Tu większością z nich zajęła się bezpieka: Pużak, aresztowany w 1947 r., zmarł w więzieniu trzy lata później; do komunistycznych więzień trafili także: Bagiński, Mierzwa, Kobyłański, Michałowski i Stemler-Dąbski.

„Proces moskiewski”, na którym skazano przywódców Polskiego Państwa Podziemnego i oskarżenia, jakie wówczas padły, szczególnie zarzut przygotowania wspólnego wystąpienia zbrojnego z Niemcami przeciwko ZSRR miał zdyskredytować istnienie Rządu Emigracyjnego w Londynie i istniejących nadal w Polsce oddziałów konspiracyjnych wobec światowej opinii publicznej. I to się Rosjanom w części udało. Brytyjski ambasador w Moskwie pisał w sprawozdaniu: „nikogo nie skazano na śmierć, oskarżeni mogli się bronić”. Na łamach brytyjskiego „The Timesa” pisano 22 czerwca: „wyrok nikogo nie powinien dziwić, kto śledził antyradziecką działalność rządu polskiego”. www.rasil.home.pl zdjęcie

Proces szesnastu

Był to pokazowy proces polityczny przywódców polskiego państwa podziemnego. Toczył się w 1945 r. w Moskwie przed Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR, któremu przewodniczył generał W. Ulrich. Oskarżał m.in. prokurator Rudenko, który później reprezentował ZSRR na procesie norymberskim. Przed sądem radzieckim stanęli przywódcy państwa i narodu polskiego aresztowani podstępnie przez NKWD w marcu 1945 w Pruszkowie, gdzie zaproszeni zostali na rozmowy

przez gen. Sierowa. Sam proces był jawnym pogwałceniem prawa międzynarodowego, które nie uznaje sądenia władz państwowych jednego państwa przez organa sądowe innych państw. W tym samym czasie prowadzone już były w Moskwie rozmowy w sprawie utworzenia Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (według „porządku” pojaltańskiego). W akcie oskarżenia Sowieci stwierdzali nielegalność AK i Rady Jedności Narodowej, wskazując równocześnie na prawo do sprawo-

wania władzy przez komunistyczny Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego i Krajową Radę Narodową. Oskarżonym przedstawiono zarzuty niemające najmniejszego pokrycia w rzeczywistości. Po „sprawnie” przeprowadzonym procesie wydano 12 wyroków więzienia (13 orzeczone odrębnie niebawem), zaś trzech spośród oskarżonych uniewinniono. Trzech ze skazanych, tych z najważniejszymi funkcjami, nie przeżyło okresu odbywania kary.

LWOWSKA MIEJSKA DZIECIĘCO-MŁODZIEŻOWA SPOŁECZNA ORGANIZACJA POLSKI ZESPÓŁ PIEŚNI I TAŃCA „LWOWIACY”

ZAPRASZA do Studium Tańców Polskich, założonego przy PZPiT „LWOWIACY”, dzieci i młodzież w grupach wiekowych 5–8 lat, 8–12 lat, 12–15 lat oraz do starszej grupy zespołu.

Próby zespołu odbywają się w szkole nr 10 we wtorki i czwartki, w godzinach od 18:00 do 21:00. Zgłoszenia przyjmujemy podczas prób zespołu lub na telefon: 0-677-982-315 bądź: 233-05-70, a także udzielamy fachowych porad w dziedzinie polskiego tańca i strojów ludowych.

prezes LMDMSO Stanisław Durys,
kierownik artystyczny PZPiT „Lwowiacy”

Cały Lwów na jego głów

W kwietniu minie pięć lat, gdy odszedł, pogrążając w głębokim smutku wszystkich którzy Go znali, a przyjaciół w bezbrzeżnej rozpacz. ON – Jerzy Janicki. Przez kilkadziesiąt lat miałem szczęście być Jego przyjacielem. Bardzo mi Jurka brakuje. Przez minione lata nie mogłem i nie mogę pogodzić się z myślą, że Jego już nie ma wśród nas. I, że nie stworzy nowych filmów i nie napisze nowych scenariuszy, słuchowisk i książek.



WŁODZIMIERZ WOSKOWSKI
pierwszy konsul Polski
we Lwowie
(fot. JURIJ SMIRNOW)

Zostawił po sobie bogatą spuściznę literacką. Był autorem scenariuszy do 18 filmów fabularnych, m.in. „Człowieka z M-3”, „Tragarza Puchu”, „Przerwanego lotu”, „Trzech kroków po ziemi”, „Wolnej soboty” oraz wspaniałych i mających ogromne znaczenie dla kultury polskiej seriali telewizyjnych, takich jak: „Polskie drogi”, „Ballada o Januszkę”, „Akcja”, „Umarłem, żeby żyć” czy „Dom” (wspólnie z Mularczykiem), uznany za serial wszechczasów. Był animatorem i współautorem fenomenalnej w skali światowej powieści radiowej „Matysiakowie”, emitowanej co tydzień przez ponad 50 lat. Był też autorem kilkadziesiątu słuchowisk radiowych i tomów opowiadań, by wspomnieć takie książki jak: „Kłaniaj się drzewom”, „Nieludzki doktor”, „Biografia w walizce”. Jego reportaże publikowane były w najbardziej prestiżowych pismach, m.in. w „Polityce”, „Kulturze”, „Świecie”, „Współczesności”. Wywiady z nim emitowane były w radiu i telewizji w porze największej oglądalności.

Urodził się w 1928 roku w Czortkowie na Podolu. Chłopięce i młodzieńcze lata spędził we Lwowie, mieście, „które – jak pisał – nie ma równego na tym bożym świecie”. Miasto to stało się na całe Jego życie wielką miłością. Dawał temu wyraz już w latach 60., gdy w Kraju ze względów politycznych nie można było głośno mówić o Lwowie. Wątek lwowski z całą siłą wybuchł w Jego twórczości w końcu lat 80. gdy ZSRR wkroczył na drogę pierestrojki, a w Polsce rozpoczęły się procesy demokracji. Miastu, które tak bardzo kochał poświęcił, nie mających sobie równych, wiele wspaniałych książek: „Cały Lwów na mój głów”, „Towarzystwo weteranów”, „A do Lwowa daleko, aż strach”, „Ni ma jak Lwów”, „Czkawka”, „Kluczyk yale”, „Kradkiady”, filmów „Toriko, czyli ballada o ostatnim batiarze”, „Lwów tam i u mnie”, „Kwadrans z Hemarem”, „Lwów, lata trzydzieste”, „Opowieści Cmentarza Łyczakowskiego” oraz cykl telewizyjny „Salon Lwowski”.

Jest to twórczość wyjątkowa. Emanuje z niej wielka miłość do bar-

dzo kochanego miasta i ludzi, którzy tworzyli jego historię – niezależnie od ich wyznania, poglądów, pochodzenia czy narodowości oraz wielka nostalgia za czymś bardzo wielkim i ukochanym, ale utraconym.

Wielkim fenomenem tego miasta jest to, że miało ono niezwykle liczne grono utalentowanych, a często genialnych piewców jego piękna i wielkości, którzy nie byli w stanie uwolnić się od nostalgii do utraconego raju młodości. Najwięcej pośród nich było Polaków, jak chociażby Herbert, Śliwak, Zagajewski, Lem, Makuszyński, Hemar, ale nie brakowało też Żydów, Ormian, Rusinów, Niemców, Francuzów czy Ukraińców.

Do grona tych wspaniałych piewców należy Jerzy Janicki, a jego piękną literacką wyprawę w krainę swej młodości A. Ziemiński w „Rzeczypospolitej” nazwał „poematem romantyczno-dygresyjnym”. Jurek wpajał mi tę miłość do Lwowa tak jak wszystkim swoim przyjaciołom, a miał ich bardzo wielu – od chwili naszego poznania się. Uczył mnie Lwowa, gdy dostałem polecenie zorganizowania urzędu konsularnego we Lwowie i nominację na jego pierwszego szefa. Naszą działalność, jako urząd, rozpoczęliśmy w niełatwym okresie. Istniało jedno przejście graniczne z ówczesną Ukrainą Radziecką – w Medyce. Przekraczało je rocznie 3-3,5 mln obywateli polskich, jadąc tranzytem na Węgry i Balkany, a działał tylko jeden urząd konsularny w Kijowie (akredytowany także dla Mołdawii). Tymczasem problemów konsularnych, wynikających z tego ruchu, była cała masa.

Władze lwowskie oficjalnie oświadczyły konsulowi, że nie istnieje żaden Cmentarz Orłąt – mogiły były przysypane gruzem i śmieciami, nie ma polskich szkół i teatru polskiego. Jest Cmentarz Łyczakowski, a w dwu szkołach radzieckich zezwala się używać języka polskiego i teatr amatorski też działa na tej samej zasadzie. Warto przypomnieć, że przyznawanie się do narodowości polskiej wiązało się z dużymi nieprzyjemnościami. Kościoły rzymskokatolickie przeznaczono na magazyny, a grekokatolickie działały w podziemiu. Jeżeli po roku działania urzędu konsularnego, w warunkach istnienia systemu radzieckiego, na ferie wakacyjne do Polski wyjechało nieodpłatnie ponad 300 dzieci i młodzieży z rodzin polskich, ponad 200 młodych ludzi zostało skierowanych na studia, rozpoczęto prace na terenie Cmentarza Orłąt, a z występami do Kraju udał się Teatr Polski ze Lwowa, a do Lwowa po raz pierwszy po wojnie przyjechał z piosenkami lwowskimi kabaret „Kalambur” z Wrocławia, a w wydzielonym kinie wyświetlane były wyłącznie polskie filmy itd. – to jest w tych dokonaniach ogromny, nie do przecenienia udział Jerzego Janickiego.

Jako organizator i przewodniczący Stołecznego Oddziału TML i KPW, dzięki wielkiemu autorytetowi



Jerzy Janicki (źródło: bieszczadzka-biesiadafilimowa.pl)

wi jaki posiadał i osobistym kontaktem, Jerzy wynajdywał sponsorów i przekonywał ich do finansowania, organizowanych przez konsulat wyjazdów na odpoczynek i naukę dzieci i młodzieży z rodzin polskich z Ziemi Lwowskiej. To, przede wszystkim, dzięki Jerzemu otrzymywaliśmy nieodpłatnie polskie filmy z filmoteki w Rzeszowie (co tydzień przywoziliśmy je samochodem konsulat) i tygodniowe programy telewizji polskiej (faxem), które po przetłumaczeniu przez nieocenionego Jacka Klimowicza i jego żonę Oksanę na język rosyjski i ukraiński, udało się nam zamieszczać w prasie lwowskiej i Zachodniej Ukrainy – ku zadowoleniu mieszkańców tych terenów. Pomagał w podjęciu decyzji o wspólnej kontroli polsko-radzieckiej na granicy; o takiej

potrzebie przekonywał władze w Kraju (wszystko to działo się jeszcze w czasach władzy radzieckiej).

Można przytaczać wiele przykładów, świadczących o tym, jak wiele przedsięwzięć, szczególnie w dziedzinie kultury podejmował Jerzy Janicki – dla dobra Polaków, żyjących w Jego ukochanym Lwowie i na Kresach Południowo-Wschodnich dawnej Rzeczypospolitej.

Był człowiekiem o niezwykle wysokiej kulturze osobistej i wybitnym erudytą. Przez dziesiątki lat mojej znajomości z Nim, nie widziałem Go nigdy zdenerwowanego. Jego opowieści – nie tylko te spisane, czy nagrane dla czytelnika i słuchacza, były zawsze przeżyciem i ucztą intelektualną. Mimo, że za swoją twórczość otrzymał wysokie odznaczenie pań-

stwowe, był wielokrotnie wyróżniany i nagradzany przez radio, telewizję, różne organizacje społeczne i instytucje, a Uniwersytet Opolski nadał mu tytuł doktora honoris causa – pozostał bardzo skromnym. Był niezwykle prawnym, niezwykle życzliwym dla ludzi. Każdy, kto zwrócił się do Niego z dowolną sprawą, zawsze mógł liczyć na Jego życzliwą radę i pomoc. Często zdarzało się, że gdy „lwowiaka” nie było stać po przyjeździe do stolicy na hotel, u Jerzego i Jego wspaniałej żony, pani profesor Krystyny, znajdował dach nad głową i posiłek. Dla lwowiaków z całego świata stał się po prostu instytucją o charakterze pomocniczym, charytatywnym, promocyjnym itp.

W odczuciach Polaków, wywodzących się ze Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wzruszającą pisał w „Gazecie Lwowskiej” (nr 8/386 z 30. 04. 2007 r.) prezes TKPZL Emil Legowicz relacjonując przebieg uroczystości pogrzebowych napisał: „Były oficjalne przemówienia, salwy honorowe Wojska Polskiego, wieńce, kwiaty, ale nie będzie już Naszego Jurka. Nie będzie tego, kto tyle zrobił dla nas, abyśmy my, Polacy, pozostali tu na Kresach, żyli nadal w pamięci rodaków w Kraju, a nasze miasto Semper Fidelis było symbolem historycznej wierności narodu polskiego. Nasz drogi Kresowiaku, Przyjacielu, niech Bóg łaskawy przyjmie Cię do grona swoich wybranych. Pozostawaj tam naszą podporą przy boku swego Pana”.

W jednej ze swoich książek, którą mi podarował – „Kluczyk yale” – zamieścił następującą dedykację: „Mojemu drogiemu Włodzowi za wszystko co dla Lwowa zrobił – Jerzy Janicki”.

Kochany Jurku, to my Ci dziękujemy z całego serca i nigdy nie zapomnimy Ciebie i tego co uczyniłeś dla Polski i Polaków.

KG

Polska zagraża narodowym interesom Ukrainy?

15 marca na posiedzeniu regionalnej międzyresortowej Rady ds. Wykształcenia Zawodowego dyrektor Wołyńskiego Centrum Zatrudnienia Raisa Kuczmuk podniosła kwestię zagrożenia jakie stwarza zjawisko zdobywania wykształcenia przez młodzież z Wołynia w Polsce. – informuje portal „Na celowniku” („Під прицілом”).

„Są wypadki, gdy uczniowie po 9 klasie jadą do Polski aby zdobyć wykształcenie zawodowe. Obawiam się, żeby to zjawisko nie przerodziło się w stałą tendencję. Czesne w Polsce nie różni się od opłat na Ukrainie, a w niektórych wypadkach niewiele je przewyższa. Dlaczego Polacy są tacy szczerzy w świadczeniu takich usług i kuszeniu naszych dzieci? Dlatego, że Europa odczuwa niedobór siły roboczej.

Sytuacja demograficzna, Unia Europejska, odpływ siły roboczej w głąb Europy automatycznie sprawia, że Ukraina staje się dawcą siły roboczej dla Polski. Mając kontakty z kolegami z polskich zakładów pracy, nie widzę tu zainteresowania szkół zawodowych. To są interesy narodowej ekonomiki.

Dlatego nasza praca, mająca na celu podniesienie prestiżu zawodów robotniczych, praca pracodawców nad socjalną odpowiedzialnością mają wyprzedzić pojawiające się zagrożenia dla narodowego rynku pracy. Bardzo wątpię, że ukraińskie dzieci, po otrzymaniu wykształcenia zawodowego w Polsce, wrócą do pracy na Ukrainę” – powiedziała Raisa Kuczmuk.

źródło:
Portal „Під прицілом”

Komentarze, jakie pojawiły się na portalu „Na celowniku” pod tym artykułem:

Koła: Z punktu widzenia tępego nacjonalizmu banderowszczyzny z regionalnoscą każdy kraj, gdzie żyje się lepiej niż na Ukrainie zagraża narodowym interesom.

Olena: Szanowni! Dzięki Bogu, że jest możliwość kształcenia się w Polsce. Tam nie trzeba dawać łapówek, aby dostać się na studia. Potrzebne są tylko wiadomości. U nas można niczego nie umieć – najważniejsze mieć pieniądze.

Wiktor: I bardzo dobrze, że jest taka możliwość dla naszych dzieci kształcić się i samorealizować. Według was – lepiej, żeby rosły z nich nieuki i niewolniczo pracowali w państwie, gdzie do własnych obywateli jest stosunek jak do zwierząt roboczych.

ZOFIÓWKA

Ponad 10 lat temu, w mroźny i śnieżny luty, przyjechaliśmy do Lwowa po raz drugi. W planach mieliśmy dotrzeć do Polaków, którzy znajdowali się wtedy w szczególnie trudnej sytuacji. Poprzez katedrę i kościół św. Antoniego, zdobyliśmy pierwsze adresy.

MONIKA NARMUNTOWSKA-MICHALAK tekst i zdjęcia

Nie znając zupełnie Lwowa, z mapą i kuzynem po drugiej stronie telefonu, uczyliśmy się topografii miasta. Jeden z adresów, dostaliśmy od siostry Małgorzaty – tłumaczyła nam bardzo dokładnie – przy końcu ul. Iwana Franki, skręćcie w lewo, miniecie dawny kościół św. Zofii, potem niziutko, prosto, obok źródelka, przy Stryjskim Parku i w dole ukaże się stary, charakterystyczny dom. Żyją tam dwie siostry i jeśli ich nie poznacie, na nic wam lwowskie zabytki. – Święte słowa.

Na Jarosławienka trafiliśmy z trudem i pomocą dobrych ludzi. Dziś trudno byłoby nam policzyć, ile razy gościliśmy w tym wyjątkowym miejscu. Trzaskające mrozem stycznie, kwitnące maje, chłodne listopady – źródło, z którego zachłannie czerpaliśmy. Miła i Czesia Laskowskie, Duet Dziąselko, historia tamtego, polskiego Lwowa.

Gdy byliśmy u sióstr pierwszy raz, a potem po latach – ostatni, zawsze było tak samo. Stara, walcząca się chałupka, pamiętająca XIX wiek, warunki – zwłaszcza zimą – niewiarygodnie trudne. Woda czerpana ze źródelka, mała, przenośna kuchenka, gaz i łazienka – w marzeniach. Bywało, zimą siedzieliśmy zmrożeni syberyjską temperaturą, przy piecu, który nigdy nie mógł dogrzać niewielkiego pokoju, a siostry, w podwójnych swetrach i czapkach, z uśmiechem zapraszały do wspólnego kolędowania.

- Może panie zgodziłyby się na zamianę swojego domu, na mieszkanie w bloku? – pytaliśmy. Mowy nie było.

- To dom naszego dziadka, nasza oddzielna republika i tu zostaniemy do końca.

Starsza była Miła. Drobna, niziutka, romantyczna i sentymentalna. Pamiętała likwidację lwowskiego get-



Siostry Laskowskie kochały śpiew i zwierzęta

ta, Żydów wywożonych na lawetach. Mówiła o tym z bólem, bo zrozumieć nie mogła po tylu latach, dlaczego inna wiara, inny kształt oczu, skazywały człowieka na śmierć. Miła kochała wiosenną zieleń, zmieniającą się przyrodę i oswojone wróble; wszystko to przenosiło ją w tamte, dobre czasy przed wojną. Zawsze, kiedy się żegnaliśmy – z takim niebieskim smutkiem w oczach, pytała – czy będę żyła, jak znów przyjeździecie? Zapewnialiśmy, że tak, bo przecież to już niedługo...

Czesia, 6 lat młodsza, opiekowała się siostrą na tyle, na ile pozwalały jej siły. Energiczna, obdarzona specyficznym lwowskim humorem, ciepła i serdeczna. Zawsze ciekawa tego, co w Polsce i chyba jeszcze gdzieś na dnie serca tliła się nadzieja, że uda się choć na chwilę przekroczyć granicę.

Obie kochały książki, które zalegały w różnych miejscach. Przesyłaliśmy im wszelkiego rodzaju powieści obyczajowe, przedwojenne romanse, a szczególnie lubiły „Anię z Zielonego Wzgórza”. Kiedy się czyta dużo i nocami, oczka zaczynają odmawiać posłuszeństwa. Tak było i w przypadku sióstr. Pojawiła się potrzeba zrobienia okula-

rów. Siostry poruszały się z trudem, do lekarza daleko, a czytać trzeba. Wpadliśmy na pomysł, by poprosić o pomoc znajomą okulistkę, która mogłaby zbadać siostry w domu. W ciepły letni wieczór, na Zofiówkę przybyła wiekowa Sofia Aleksandrowna. Przyniosła ze sobą ogromną, drewnianą walizkę, na oko pamiętającą czasy ostatniego cara. Nie mogliśmy po sobie pokazać, w jakim byliśmy szoku, wszak Sofia



i... niespodzianki

przebyła kilometry. Okulistka zaczęła wybierać z walizki różne szkiełka, soczewki, lupki, postawiła na stole dużą, sowiecką lampę, którą zamierzała zbadać wzrok. I badała. Długo, dokładnie, tyle, że inaczej niż robi się to dziś. Zdziwienie nasze było duże, kiedy okazało się, że okulary zrobione wg recepty starej, rosyjskiej lekarki, pasują siostronom idealnie. To jedno z najcieplejszych wspomnień, związanych z historiami z Zofiówki, a radość sióstr była ogromna.

Siostry kochały śpiew i muzykę, mówiły o sobie – Duet Dziąselko.



*Najserdeczniejsze życzenia
zdrowych, radosnych i spokojnych
Świąt Wielkiej Nocy,
smacznego jajka, mokrego dyngusa,
a także odpoczynku w rodzinnym gronie!
Niech każdy z nas wykorzysta ten czas jak najlepiej.*

Głosy miały piękne, czyste i gdyby w młodości mogły się uczyć, na pewno ich śpiewanie nie skończyłoby się na domowym śpiewniku. Znały pieśni patriotyczne i batiarskie, bardzo lubiły te religijne. Śpiew był dla nich wspomnieniem młodości, powrotem do czasów, gdy żyli rodzice, gdy były sprawne i zdrowe. Zastanawialiśmy się, jak to się dzieje, że siostry, pomimo tak trudnych warunków, pomimo wielu niedostatków, są zawsze w dobrym, pogodnym nastroju. Na pewno była to kwestia ich charakterów, ale też nastawienia do codzienności, w której – choć była niełatwa – odnajdowały smaki i kolory życia.

zostać w zimnym domu. Zabrała je dalsza rodzina. Siostry zamieszkały w bloku, w czystym, ciepłym pokoju. Pierwsza odeszła Czesia – nagle i niespodziewanie.

W styczniu zeszłego roku, ostatni raz widzieliśmy Milę, która przeżyła siostrę o dwa miesiące. Nikt nie mógł uwierzyć, bo przecież teraz, w godnych warunkach, siostry miały zacząć normalnie żyć. Jednak przeprowadzka okazała się zbyt trudna, nowe miejsce zbyt wygodne, stare drzewa zbyt zakorzenione.

My, jak dawniej przyjeżdżamy do Lwowa, ale „dawniej” już nie jest to samo... Nie ma już spotkań na Zofiówce, nie ma sióstr, które po-



...gości

darowały nam bezcenne i niezapomniane chwile. Miła i Czesia miały dar przenoszenia swych gości, w czasy Baczewskiego, lwowskich bali u weteranów, batiarów i panien Franciszek. Posiadały ten specyficzny, jedyny w swoim rodzaju galicyjski humor, połączony z nostalgią. Poza tym, były doskonałym przykładem tego, że jakość życia absolutnie nie zależy od ilości tego, co uda się nam – czasem zupełnie bezmyślnie – zgromadzić. Niestety – były, na szczęście – były...

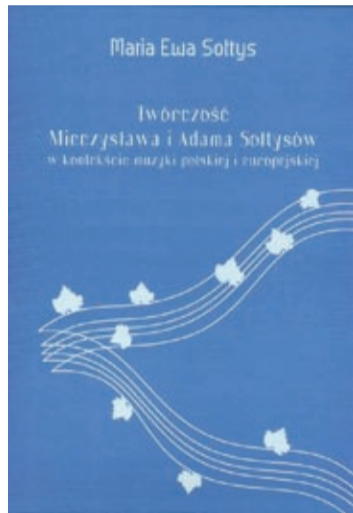
Nowa książka o muzyce we Lwowie

W Warszawie, 11 marca 2012 r., w siedzibie Uniwersytetu Muzycznego Fryderyka Chopina (dawna Akademia Muzyczna) odbyła się promocja nowej książki Marii Ewy Sołtys „Twórczość Mieczysława i Adama Sołtysów w kontekście muzyki polskiej i europejskiej”, która ukazała się w bieżącym roku w Lublinie (Wydawnictwo Polihymnia, 288 s.).

MICHAŁ PIEKARSKI

Autorka, będąc absolwentką Akademii Muzycznej we Lwowie, oprócz swoich koligacji rodzinnych, znana jest w świecie muzycznym także jako osoba już od wielu lat czynnie upamiętniająca działalność dwóch wybitnych lwowskich kompozytorów – Mieczysława i Adama Sołtysów. W 2008 r. nakładem wydawnictwa Ossolineum ukazała się ten temat książka popularnonaukowa – „Tylko we Lwowie. Dzieje życia i działalności Mieczysława i Adama Sołtysów”.

Tym razem mamy do czynienia z książką o charakterze naukowym – muzykologicznym, zawierającą pogłębioną analizę konkretnych utworów, wraz – co niezwykle istotne – z zamieszczonymi obok przykładami nutowymi. Publikacja zawiera także aneks z obszernymi cytatami materiałów źródłowych, opatrzonej krytycznym komentarzem. Autorka podczas spotkania dokonała wprowadzenia na temat życia i działalności omawianych kompozytorów. Dla przypomnienia warto nadmienić, że Mieczysław Sołtys (1863–1929) w latach 1899–1929 był dyrektorem konserwatorium we Lwowie. Komponował utwory fortepianowe oraz przede wszystkim – wielkie formy wokalne: opery i oratoria, wśród nich m.in. słynne „Śluby Jana Kazimierza” (ostatnio wykonane we Lwowie sześć lat temu w katedrze w kwietniu 2006 r.). Adam Sołtys (1890–1968), syn Mieczysława kontynuował pracę na polu pedagogicznym, będąc w latach 1929–1939 dyrektorem konserwatorium, po II wojnie światowej pracując jako wykładowca Lwowskiego Państwowego Konserwatorium Muzycznego. Tworzył przede wszystkim utwory instrumentalne – orkiestrowe



oraz kameralne i fortepianowe. Jak zaznaczyła autorka: „Wspólną cechą obydwu lwowskich kompozytorów – pomimo wielu różnic [w tym pokoleniowej – MP] – są tendencje narodowe w różny sposób i z różnym nasileniem przejawiające się w ich kompozycjach”.

Promocji książki towarzyszył krótki koncert złożony z utworów Mieczysława i Adama Sołtysów. Dwie pieśni Mieczysława Sołtysa („Tyś jest jak kwiat” i „Ty skromne dziewczę”) wykonał młody, debiutujący tenor Paweł Kowalewski, na fortepianie towarzyszyła Gabriela Machowska-Kopietz. Główny punkt programu stanowiły *Wariacje Fortepianowe* op. 4 Adama Sołtysa, wykonane po mistrzowsku przez zdolną lwowską pianistkę – Olenę Hawiuk, zaś trzy pieśni tego kompozytora zaśpiewała Olga Siemieńczuk z towarzyszeniem Piotra Fidelusa. Na koniec zabrzmiał niezwykle rzadko prezentowany *Utwór na harfę* Adama Sołtysa w wykonaniu Anny Sikorzak-Olek. Książkę polecam każdemu zainteresowanemu historią muzyki polskiej, a zwłaszcza życiem muzycznym Lwowa.

Makowica czeka na turystów

W karpackim uzdrowisku Jaremzcze rozpoczęto już przygotowania do kolejnego sezonu turystycznego. Przyjemną niespodzianką dla gości regionu, gustujących w aktywnych formach wypoczynku, będzie odnowiony szlak na górę Makowicę. Dzieła dokonali wspólnie członkowie społecznej organizacji ekologicznej „Eko-Płaj” i pracownicy Karpackiego Parku Krajobrazowego. Dokładnie o całej akcji opowiada czytelnikom Kuriera Galicyjskiego szefowa wydziału rekreacji KPK Lidia Gocuł.

SABINA RÓŻYCKA
tekst i zdjęcie

Pani Lidio, na Makowicę z Jaremcza turyści wychodzą od lat. Czy uda się w końcu uporządkować ten szlak?

Turyści chodzą tym szlakiem od lat, ale w 1993 roku na terenie naszej miejscowości rozpoczęły się prace przy poszerzeniu i modernizacji dróg. W ten sposób zniszczono początkowy odcinek szlaku na Makowicę. Pojeździe było bardzo strome, chociaż cała trasa – około 8 km – nie jest trudna. Przejście szlakiem zajmuje około cztery godziny i górę o wysokości 985 m n.p.m. mogą zdobywać nawet uczniowie starszych klas.

Po zniszczeniu początkowego odcinka szlaku turyści przechodzili ma górę tzn. „Ścieżką Dobosza”, lub innymi szlakami z miejscowości Jamna i Dora. Jednak większość ludzi wypoczywa w Jaremczu. Dlatego warto było, by z miasteczka, od strony wodospadu „Huculszczyzna” można było wejść na górę. Również turyści, którzy przyjeżdżają do Jaremcza w weekendy nie mają za dużo czasu, aby obchodzić dookoła i zdobywać upragniony szczyt. Nasza nowacja znacznie skróci wejście na początkowym odcinku.

Jakie będą udogodnienia?

Planujemy, przede wszystkim, utworzenie kamiennych schodów. Przy tym chcemy jak najmniej wtrącać się w przyrodę, bo już na stoku są naturalnie ukształtowane kamien-



Nowe, naturalne schody na Makowicę

ne stopnie – ogromne bryły piaskowca. Trzeba je tylko lekko ociosać, oczyścić z gałęzi i wysypać piaskiem. Wszystko to wpisuje się w ukształtowanie terenu. Po drodze umieścimy tablice informacyjne i drogowskie. Uporządkujemy też placzyki widokowe, skąd może podziwiać widoki Karpat 20-30 turystów jednocześnie. Ustawimy też znaki drogowe, informujące, że na Makowicę prowadzi krótsza droga. Opracowane zostaną foldery informacyjne po ukraińsku i po angielsku. Będą rozdawane na ulicach miasteczka, w gospodarstwach agroturystycznych i w firmach turystycznych.

Jakie widoki możemy podziwiać, idąc na Makowicę?

Po kamiennej ścieżce turyści będą mijali las bukowy. Jest on siedliskiem wielu gatunków ptaków. Gdy będziemy mieli szczęście,

można nawet zobaczyć jelenia, czy sarnę. Na Makowicy zachowały się okopy z I wojny światowej. Toczyły się tu ciężkie walki. Już na szczycie w słoneczną, jasną pogodę otwierają się malownicze krajobrazy na doliny rzeczek Żonka i Prut, widnieją szczyty pasma Czarnogóry.

Info.

W strefie Karpackiego Parku Krajobrazowego jest około 20 ekologicznych szlaków, o ogólnej długości 128 km. Każdy szlak ma od dwóch do dziesięciu kilometrów. Idąc tymi ścieżkami, turyści mogą zapoznać się przyrodą Karpat, światem roślinnym i zwierzęcym. Na szlakach są mini „wizyt-centra”, gdzie możemy otrzymać interesującą nas informację, a pracownicy centrów mogą służyć też jako przewodnicy.

KG

*Ciepłych i udanych
Świąt Wielkanocnych
oraz wszelkiej pomyślności
i radości
w życiu zawodowym
i prywatnym.*



*Dzwon wesolo się rozlega,
pieśń potężna dobiega.
Oby serce też zostało
napelnione dzisiaj chwałą
i tętniącym życiem wiosny
w Zmartwychwstania
dzień radosny.*

I Ty możesz wspomóc Polaków na Kresach!

FUNDACJA CHARYTATYWNA IM. KS. DRA MOSINGA

Fundacja charytatywna „Pomoc Polakom na Kresach” im. ks. dra Mosinga, jest kontynuacją, działającą w Zielonej Górze od 17 lat Ruchu Apostolatu Emigracyjnego – Pomoc Polakom na Kresach. Swą pomoc fundacja kieruje do rodzin polskich, żyjących na terenie województwa lwowskiego, stanisławowskiego, tarnopolskiego i chmielnickiego. Pomoc ta przygotowana jest pod kątem indywidualnych potrzeb każdej rodziny.

Kilka razy w roku Monika i Andrzej Michalakowie – założyciele fundacji wyjeżdżają na Ukrainę, aby spotkać się ze swoimi podopiecznymi,



Monika i Andrzej Michalakowie

mi, aby na bieżąco reagować na ich potrzeby. Wspomagają zwłaszcza osoby starsze i samotne w sprawach urzędowych, medycznych i innych. W

czasie pobytu na Kresach, otrzymują też nowe adresy. Organizacja charytatywna współpracuje z lekarzami, szkołami, parafiami, zgromadzeniami zakonnymi i organizacjami.

Kontakt:

www.fundacjamosinga.zgora.eu
e-mail: galicia.mosing@wp.pl
tel.: +48 509 898039
NIP: 9291845734
REGON: 081008180
KRS: 0000406857

Konto: BGŻ 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700



Pomoc dla rodziny Zabłockich

Zwracamy się z serdeczną prośbą o pomoc dla wielodzietnej rodziny Walentyny i Stanisława Zabłockich. Zabłocki mieszkają we wsi Czerwony Kwiat, koło Szepetówki, na Wołyniu. Na początku lutego, w wyniku pożaru stracili dom, a razem z nim cały dobytek. To bardzo pracowici, ale niezasobni ludzie, warto dodać, że w ich mieszkaniu znajdowała się kaplica, gdzie odbywały się nabożeństwa, jako, że we wsi nie ma kościoła. Rodzina Zabłockich bardzo chciałaby odbudować dom.



Tym, którzy chcieliby wspomóc tę rodzinę, podajemy numer naszego konta: BGŻ 23 2030 0045 1110 0000 0222 0700 – z dopiskiem – pomoc dla Zabłockich

Fundacja Pomoc Polakom na Kresach im. ks. dra Mosinga

O kamienicy w której się urodziłem

Każdy dom ma swoją historię, na którą zwykle składają się losy jego lokatorów. Są domy chlubiące się tym, że mieszkali w nich sławni, z dobrych lub złych uczynków, ludzie. Domy w których zapadały ważne i powszechnie znane decyzje. Kamienice, pałace i chaty słynące z wielkich i małych tragedii oraz radości. Jednak zdecydowana większość ludzkich siedzib nie może chlubić się taką sławą, gdyż zamieszkałe były przez przeciętnych zjadaczy chleba.

ALBIN PRZYBYŁOWSKI
Towarzystwo Miłośników
Lwowa i Kresów
Południowo-Wschodnich
Oddział w Nysie

Jedną z tysięcy lwowskich kamienic, której ponad stuletni żywot nie obfitował w jakieś szczególne wydarzenia jest dom zbudowany u wylotu ulicy Zielonej, na obecnej ulicy Franki, a dawnej Zyblikiewicza, któremu teraz nadano nr 22, a poprzednio oznaczony był numerem 2. W tym domu urodziłem się 72 lata temu. Poświęcę mu kilkadziesiąt zdań nie tylko z nostalgii za dziecięcymi latami, lecz także z nadzieją, że opowieść ta może zainteresuje terażniejszych mieszkańców tej kamienicy, zainteresowanych losami swych poprzedników.

Krótką historia

Na przełomie XIX i XX wieku tą nowoczesną wówczas kamienicę kupił Zygmunt Gieszkowski, mój dziadek ze strony matki. Kupił ją dlatego, że nie chciał z rodzeństwem zarządzać dużym majątkiem ziemskim w okolicach... Budapesztu, otrzymanym w spadku po swych rodzicach, a moich pradziadkach. Opuścił Węgry i postanowił zostać lwowskim przemysłowcem. Do frontowego budynku szybko dobudował także dwupiętrową oficynę, a na jej parterze otworzył drukarnię i fabryczkę opakowań papierowych. Interes szedł niezłe, życie prywatne nie za bardzo, bowiem szybko nie tylko owdowiał, ale także zmarła mu jedyna kilkuletnia córeczka. Szybko jednak pocieszył się po tych stratach bliskich i po raz drugi ożenił się. Nową wybranką dziadka, a moją przyszlą babcia, była Maria – robotnica jego firmy, dziewczyna z robotniczej zamarynowskiej rodziny, znacznie młodsza od nieboszczki żony (co było jej głównym atutem). Niestety w dniu swych 58 imienin, czyli w 1913 roku dziadek Zygmunt zmarł nagle, zostawiając swej młodej żonie trójkę małych córeczek, z których najstarszą była moja mama Aniela (rocznik 1900). Babcia Maria żadnej pracy się nie bała i postanowiła samodzielnie poprowadzić firmę. Niestety wybuchła I wojna światowa i babcia wraz córeczkami wyjechała do krewnych zmarłego męża w Presovie. Tam spokojnie przeżyła zawieruchę wojenną, ale po powrocie do Lwowa straciła ochotę bycia bizneswoman i sprzedała firmę wraz z prawie całą kamienicą znanemu restauratorowi Mikołajowi Lewickiemu. Sobie zostawiła tylko dwa mieszkania na pierwszym i drugim piętrze oficyny. W tym na pierwszym piętrze przyszedłem na świat (3 marca 1940), a cztery lata później (w 1944 roku) mój brat Andrzej. Dziadek Zygmunt i babcia Maria (zmarła w 1943 roku) pochowani są w rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim (w pobliżu mauzoleum rodziny Goldów). Grobo-



Od prawie siedemdziesięciu lat „uroda” tej bliskiej sercu autora kamienicy niewiele się zmieniła, (zdjęcie z 2009 r.)

wiec ten postawiono w 1911 roku i do tej pory, czyli ponad sto lat, jest w niezłym stanie, co doskonale świadczy o solidności i zawodowych umiejętnościach ówczesnych kamieniarzy.

O wcześniejszych mieszkańcach kamienicy niewiele wiem. Wiadomo mi natomiast kto w niej mieszkał w latach 1935–1945. Reprezentacyjne mieszkania, do których wiodła osobna klatka schodowa z ulicznej bramy przejściowej, a których okna wychodziły na Zyblikiewicza (Franki) zajmowali: (I piętro) lekarz dermatolog Flunt z rodziną, właściciel drogerii – Muszyński z rodziną (m.in. z córką Danutą, późniejszą gwiazdą opery w Gliwicach); (II piętro) właściciel całej posesji Mikołaj Lewicki i dyrektor Banku Rolnego – Rejnisz. Na parterze był sklep z nabiałem i restauracja Lewickiego. Każde z tych mieszkań miało też wejście do ganek, łączący

lokale znajdujące się w oficynie.

Przez główną bramę z ulicy wchodziła się na małe podwórko zamknięte z czterech stron dwupiętrowymi kamienicami oficyny. Na parterze z lewej strony, po niegdyśszej fabryczce dziadka Zygmunta było zaplecze restauracji, a po przeciwnej stronie mieszkanie dozorczy Mazura. W pozostałych lokalach na parterze mieszkali pracownicy Lewickiego: kelner Funk oraz dwie kucharki (jedną z nich nazywała się Tekla Jabłońska). Na pierwszym piętrze mieszkała: moja babcia Maria i mama Aniela wraz ze mną, młodszy brat, a od 1943 roku przyrodni brat mamy – ksiądz Jan, zaś pozostałe mieszkania wynajmowane były przez pana Romka szefa bufetu i „prawej ręki” Mikołaja Lewickiego oraz bezdzietne małżeństwo fryzjerów – Banasiów. Mieszkania na drugim pię-

trze zajmowała najmłodsza siostra mojej mamy – ciocia Janka z mężem Tadeuszem, potomkiem sławnego włoskiego rodu Cavour. Wujek Tadeusz przed wojną był urzędnikiem w magistracie, a w czasie wojny pracował jako robotnik garbarni w Żółkwi. Ich sąsiadami był zecer Szpecht i urzędnik Piasecki. Tak wyglądała lista lokatorów do końca 1945 roku. Wszyscy oni przesiedleni potem byli na Ziemię Odzyskane, głównie do Opoli, Bytomia i Wrocławia. Dokładnie to nie wszyscy, bowiem drogistą Muszyński pozostał na zawsze we Lwowie. Zastrzelili go enkawudziści w czasie próby ucieczki z aresztu przy Łąckiego. Wcześniej był aresztowany za podpisanie „za Niemców” volkslisty. Faktycznie dokument taki podpisał, ale na rozkaz AK, której był żołnierzem. Tyle epizodów z historii tego domu i jego lokatorów.

Dziecięce

wspomnienia wojenne

Mam to szczęście, że zachowałem w pamięci jedynie mało znaczące wydarzenia z tego tragicznego okresu. Jest tak dlatego, że dziecko inaczej postrzega rzeczywistość, wielu wydarzeń nie rozumie, zaś rodzice ukrywają przed nim smutne fakty. Najistotniejszy wpływ na moje wspomnienia z tego okresu miało chyba to, iż całej mojej rodzinie udało się szczęśliwie przetrwać zarówno lwowskie rządy Rosjan jak i Niemców.

Z oczywistych względów nic nie pamiętam z czasów „pierwszych Rosjan”, przegonionych później przez Niemców. W tym okresie bowiem zajęty byłem wyłącznie spożywaniem i wydalaniem, stawianiem pierwszych kroków i wymawianiem pierwszych słów. Ale już od połowy 1944 roku cokolwiek zapamiętałem. Na przykład fragmenty batiarskich wierszyków z Łyczakowa, wygłaszanych przez starszego o 17 lat brata Rajmunda, a komentujące okupację niemiecką: *Popatrz matko, popatrz ojczyste oto idą dwa volksdeutsche. Co za hańba, co za wstyd! Jeden Rusin, drugi Żyd.*

*Kto ty jesteś? – Volksdeutsch mały.
Jaki znak twój? – Chlebuś biały.
Kto cię stworzył? – Zawierucha.
Co cię czeka? – Gałąź sucha.*

Z pewnością lwowska ulica podobnymi wierszykami i piosenkami komentowała obecność Rosjan w mieście, lecz w obawie przed wszechwładnymi enkawudzistami, nie recytowano tych utworów w mojej obecności, wiedząc iż każde dziecko doskonale zapamiętuje nie to, co się do niego mówi, ale to o czym rozmawiają starsi. Z tego okresu utkwił w mej pamięci spalony czolg, stojący naprzeciw naszej bramy przy ulicy Zielonej, a w nim zwęglone zwłoki czolgisty, (nie wiem jednak czy był to czolg radziecki, czy niemiecki) oraz dwukrotny, kilkugodzinny pobyt w piwnicy, w czasie nalotów bombowych, które na szczęście nie uszkodziły naszej kamienicy.

Doskonale natomiast zapamiętałem nocne „prowierki dokumentów”, czyli „wizyty umundurowanych i cywilnych osobników, szukających wrogów władzy radzieckiej. Do tych wrogów zaliczony został mój starszy brat, który ukrywał się przed poborem do armii oraz brat mamy ksiądz Jan, z uwagi na swój stan kapłański i przedwojenną działalność w katolickich organizacjach młodzieżowych. Obaj, słysząc łomot do drzwi mieszkania, w pośpiechu opuszczali je przez okno na dach, przylegającej do budynku komórki, gdzie mieli sprytnie zamaskowaną kryjówkę. Wujek Jan teoretycznie nie miał się czego obawiać, gdyż miał fałszywe dokumenty wystawione na nazwisko Jan Hanicz i potwierdzające, że z zawodu jest szewcem, (rzeczywiście szewstwo było jego hobby), ale na wszelki wypadek wolał unikać bezpośrednich kontaktów z tymi nocnymi „gośćmi”. W dokumenty te zaopatrzył go Ukrainiec, kolega z gimnazjum. Był to rewanż za to, że w czasie okupacji niemieckiej wujek Jan przez pewien czas ukrywał tego kolegę-komunistę w zakamarkach katedry ormiańskiej. Po powrocie do Lwowa Czerwonej Armii tenże Leonid stał się ważną osobistością w mieście i nie zapomniał o przysługę swego gimnazjalnego kolegi. Wujkowi chyba spodobało się to nowe nazwisko (naprawdę nazywał się Lechowski), gdyż używał go do śmierci, jako proboszcz i dziekan Świdnickiego dekanatu. Przy końcu 1944 roku niespodziewanie nocne patrole przestały nękać nasze mieszkanie. Stało się chyba tak na skutek interwencji majora Igora. Tenże major Armii Radzieckiej sprowadził się wraz z żoną i dziećmi do mieszkania opuszczonego przez dyrektora banku Rejnisha. Jego synek Jura był w moim wieku, a siostra Nora nieco starsza. Nie bacząc na różnice polityczne, ideologiczne i wszelkie inne, bawiliśmy się razem na podwórku lub w naszych mieszkaniach. Mama z majorową połączyła handel wymienny, polegający na tym, że mama zaopatrywała Rosjanek w różną damską konfekcję, a w zamian otrzymywała od niej produkty spożywcze.

Pewnego popołudnia w czasie podwórkowych harców Jura poważ-

KUL – uczelnia na poziomie światowym

Z dr. LECHEM JAŃCZUKIEM, adiunktem Instytutu Politologii KUL, rozmawiali KRZYSZTOF SZYMAŃSKI i MARIA BASZA

Jaki jest cel pana wizyty we Lwowie?

Przyjechałem z Lublina z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II. Jestem doktorem i adiunktem w Instytucie Politologii KUL. Przyjechałem na Ukrainę do Lwowa z akcją promowania naszej uczelni wśród Polaków zamieszkujących te tereny.

Chciałbym przedstawić możliwość studiowania na KULu, a w szczególności w Instytucie Politologii. KUL-u chyba nie trzeba przedstawiać. Jest to jedna z najlepszych uczelni w Polsce, a jego renoma znana jest na całym świecie. Instytut Politologii jest najmłodszym, dynamicznie rozwijającym się instytutem uczelni. Na potrzeby naszego instytutu KUL przejął nowy kompleks budynków, co pozwala na zdobywanie wiedzy w komfortowych warunkach.

Na studia przyjmowane są osoby najlepsze. Ale szanse mają wszyscy i zapewniam Państwa, że naprawdę warto spróbować. Polacy z terenów Ukrainy są o tyle w dobrej sytuacji, że posiadając Kartę Polaka, mogą studiować na tych samych warunkach co z studentami z Polski. Dla nich te studia są bezpłatne z całą osłoną socjalną i stypendialną. Osoby nie posiadające Karty Polaka mogą również studiować na naszej uczelni. Muszą tylko mieć opanowany język polski i uiścić opłatę ok. 2 tys. euro rocznie. Jednak takie osoby mogą ubiegać się o stypendium Fundacji Jana Pawła II, które częściowo zrekomensuje koszty studiów. Na uczelniach polskich studia na politologii odbywają się w systemie 3+2. Pierwsze trzy lata są to studia licencjackie (odpowiednik stopnia bakaława na uczelniach ukraińskich – red.). Uzyskując licencjat taka osoba legitymuje się wyższym wykształceniem. Na Ukrainie ten typ studiów trwa cztery lata. Pod względem kosztów studiów czyni to KUL uczelnią atrakcyjną, bardziej konkurencyjną. Warto tu też zaznaczyć, że dyplom KUL-u jest uznawany na całym świecie, podczas gdy dyplomy uczelni ukraińskich trzeba nostryfikować w innych krajach.

Jakie są warunki dla studentów zza granicy? Czy są stypendia, miejsca w akademikach?

Jeśli chodzi o osłonę socjalną to rzeczywiście warunki są bardzo dobre w porównaniu z innymi lubelskimi uczelniami. Dla nikogo miejsc w akademikach nie zabraknie.

Jakie są opłaty za akademik?

Opłaty są zróżnicowane i pod uwagę bierze się dochody rodziny studenta. Pełny koszt opłaty to około 500 PLN. Ale są możliwości otrzymania dofinansowania do opłaty za akademik. Ale wszystko zależy od dochodów rodziców.

Czy studenci z Kartą Polaka mają jakieś zniżki?

Nie. Obowiązują ich takie same zasady jak studentów z Polski.



dr Lech Jańczuk

Jakie są stypendia, o które można się ubiegać?

To też zależy. Są dwa rodzaje stypendiów: stypendium socjalne i stypendium naukowe. Stypendium socjalne jest uzależnione od wysokości dochodu w rodzinie. Natomiast pełne stypendium naukowe wynosi około 600 PLN. To stypendium jest przyznawane tylko za wyniki w nauce. W zależności od średniej wyników w nauce odpowiednio może być mniejsze – odpowiednio 80%, 60% i 40%.

Kiedy jest przyznawane to stypendium?

Po pierwszym semestrze na podstawie wyników w nauce.

Jakie inne wydziały posiada Uniwersytet?

Są to wszystkie kierunki humanistyczne i społeczne. Od teologii począwszy, przez wydziały prawa, prawa kanonicznego i administracji, filozofii, nauk humanistycznych, nauk społecznych, a na matematyczno-przyrodniczym skończywszy. W ramach każdego wydziału funkcjonuje od kilku do kilkunastu instytutów. Dla przykładu częścią wydziału nauk społecznych jest Instytut Politologii,

we, artystyczne: Scena Plastyczna KUL czy Chór Akademicki KUL, które znane są na całym świecie.

Czy te drużyny sportowe reprezentują KUL w rozgrywkach międzyuczelnianych?

Nie tylko międzyuczelnianych. Akademickie Zespoły Sportowe KUL odnoszą spore sukcesy również w zawodach o zasięgu wojewódzkim i krajowym. Dla przykładu Daria Gwiazdowska, studentka prawa KUL, jest brązową medalistką Polski w biegu po schodach. W innych kategoriach studenci KUL również zdobywają medale, we wspinaczce, tenisie stołowym, ergometrze sportowym, itd.

Jakie są możliwości spędzenia wolnego czasu w Lublinie?

Lublin jest miastem akademickim. Ma w nim siedzibę kilka uniwersytetów, politechnika i mnóstwo wyższych uczelni prywatnych. Obecnie na około 350 tys. mieszkańców ponad 50 tys. to są studenci. W związku z tym jest wiele klubów, dyskotek, kin, teatrów i innych miejsc, gdzie można spędzić wolny czas. Naturalnie, jeżeli uda się go wygospodarować.



Główny gmach KUL-u

który z kolei dzieli się na pięć katedr: Historii Współczesnej i Ruchów Społecznych, Samorządu Terytorialnego i Polityki Lokalnej, Stosunków Międzynarodowych, Teorii Polityki, Studiów Wschodnich.

Jakie są warunki dodatkowego rozwoju swoich zainteresowań? Chodzi mi o drużyny sportowe, zespoły artystyczne.

Mamy wspaniały kompleks, na którym odbywają się zajęcia z wychowania fizycznego. Działa cały szereg kół, stowarzyszeń, zespołów, gdzie studenci mogą rozwijać swoje zainteresowania naukowe, sporto-

Wróćmy do nauczania. W jakich językach prowadzone są wykłady?

Generalnie wszystkie wykłady prowadzone w języku polskim. Natomiast nauka języków obcych odbywa się głównie w języku, który się studiuje. Zasada jest taka, że na pierwszym roku na wszystkich kierunkach obowiązuje łacina i jeden język nowożytny.

Jakie języki można studiować na KUL-u?

W zakresie nauki języków obcych oferta KUL-u jest naprawdę imponująca. Można studiować takie języki jak: angielski, arabski, chiń-

KUL-towa Politologia

SPECJALNOŚCI

- demokracja lokalna i samorząd terytorialny
- integracja europejska
- marketing polityczny i komunikowanie publiczne
- studia wschodnie – wschodnioznawstwo
- ruch transgraniczny i turystyka międzynarodowa

KONTAKT
Instytut Politologii
e-mail: politologia@kul.pl
tel. 81/445 33 56

www.kul.pl/politologia

ski, estoński, francuski, grecki, hindi, hiszpański, japoński, łaciński, niderlandzki, niemiecki, norweski, rosyjski, czy włoski.

Czy nowa reforma szkolnictwa wyższego, dotycząca wielu kierunków studiów, dotyczy również KUL-u?

Naturalnie. Nasza uczelnia podlega Ministerstwu Edukacji Narodowej i wszystkie ustawy o szkolnictwie wyższym nas dotyczą. Studia bezpłatne możliwe są tylko na jednym kierunku. Jeżeli ktoś chce studiować równoległe drugi kierunek, to już, niestety, odpłatnie.

Jakie jest położenie miasteczka akademickiego?

Główny kompleks budynków akademików jest na Poczekajce. Stamtąd do uczelni jest około 4 km, ale jest bardzo dobre połączenie au-

naukowa, szczególnie w Instytucie Politologii jest młoda i prężna. Stosowane są nowatorskie i skuteczne metody nauczania. Dyrektorem Instytutu jest prof. zw. dr hab. Stanisław Wójcik, uznany autorytet w świecie nauki, osoba wpisana do „Złotej Księgi Nauk Administracyjnych”. Sale wykładowe są w pełni wyposażone w najnowszy sprzęt audio-wizualny, rzutniki. Studenci odbywają obowiązkowe zajęcia praktyczne, w agencjach reklamowych, mediach, w firmach czy innych organizacjach. Dzięki temu mogą zdobyć wszechstronne wykształcenie zarówno teoretyczne, jak i praktyczne.

Jakie są możliwości zatrudnienia po ukończeniu Uniwersytetu?

Z moich doświadczeń wynika, że studenci mają dobre przygotowanie do samodzielnej pracy. Oprócz tego KUL, jako uczelnia katolicka wielką wagę przywiązuje do etyki, co w dzisiejszym świecie też jest elementem nie do przecenienia. Na KUL-u funkcjonuje też „Biuro Zawodowej Promocji Studentów i Absolwentów KUL”, które pomaga w znalezieniu zatrudnienia w trakcie i po studiach. Jak już wspominałem, dyplomu KUL-u nie trzeba nostryfikować w innych państwach. Nasza uczelnia ma też podpisane umowy o współpracy z uczelniami polskimi i uczelniami katolickimi w całej Europie. Daje to możliwość kontynuacji studiów na innych uczelniach.

Dziękujemy za rozmowę.

Pełną informację o działalności Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego Jana Pawła II, wydziałami i instytutami, życiem studentów, zasadami rekrutacji można zapoznać się na stronie internetowej: www.kul.pl oraz stronie Instytutu Politologii KUL www.kul.pl/politologia

Czyja karetka najszybsza

W województwach wołyńskim i rówieńskim odbyły się IV Zawody brygad reanimacyjnych (ER). Działania były częścią wspólnych przygotowań do EURO 2012. W zawodach wzięły udział dwie ekipy z Polski.

AGNIESZKA RATNA
tekst i zdjęcia

Atak terrorystyczny... na szczęście „na niby”

...Zabawa na dyskotecie w klubie nocnym w pełni. Raptem – wybuch. Na sali wybucha panika, słychać jęki rannych, wołania o pomoc. Za kilka minut brygady antyterrorystyczne opanowują sytuację i zwalniają zakładników. Teraz do akcji wkraczają brygady medyczne, które wspólnie z pracownikami Ministerstwa Nadzwyczajnych Sytuacji (MNS) wyprawiają rannych, okazują pierwszą pomoc. Sytuacja jest złożona: wielu jest ciężko rannych, są otwarte złamania, rany postrzałowe. Lekarze określają stan poszkodowanych i w odpowiedniej kolejności okazują pomoc. Nagle brzmi: „Stop! Czas wyczerpany! Dziękujemy wszystkim!” Ranni wstają z noszy, weselo rozmawiają ze sobą, uśmiechają się.

„Byliście państwo świadkami zawodów, które miały nazwę „Dyskoteka”, – komentuje sytuację przedstawiciel komitetu organizacyjnego międzynarodowych zawodów zespołów brygad ratowniczych, główny lekarz centrum pomocy medycznej i medycyny katastrof Rady Województwa Rówieńskiego Oleg Uszkiewicz. – Po akcie terrorystycznym nasi fachowcy ratowali poszkodowanych. Nie było to żadne show, a nadzwyczaj poważna szkoła dla wszystkich zespołów ratowniczych. Modelując różne sytuacje ekstremalne, kładziemy nacisk na te, które najbardziej prawdopodobnie mogą się wydarzyć w czasie EURO 2012.”

Ważne jest nie zwycięstwo, a wymiana doświadczeń

Ciągnąc dalej swą opowieść, pan Oleg mówi, że w czasie tegorocznych zawodów w wołyńskim sanatorium „Przebiśnieg”, udział wzięły 32 ekipy ratowników medycznych: 28 z różnych regionów Ukrainy, cztery – z Litwy, Danii i Polski. Organizatorzy przygotowali dla ekip osiem praktycznych zadań konkursowych i jedno teoretyczne. Sędziowie oceniali dokładność i zgranie każdej brygady, zwracali uwagę na czas wykonania zadania, skompletowania wozu ratunkowego. Ocenie poddano nie tylko zawodowe umiejętności lekarzy, ale i kierowcy. Oceniano też znajomość języka angielskiego – języka międzynarodowego.

Lekarze twierdzą, że uczestnictwo w zawodach tej rangi jest dla nich możliwością podniesienia swoich umiejętności zawodowych, zapoznania się z praktyką kolegów z innych regionów i zza granicy.

„Jestem reanimatologiem już ponad 10 lat – opowiada lekarz łuckiej stacji ratownictwa medycznego Oleksij Fedorjaczko. – W zawodach startujemy już po raz drugi. Według mnie jest tu możliwość wykazać się w sytuacjach ekstremalnych. W



Podczas zawodów pt. „Dyskoteka”

przyszłości zaowocuje to pewnością siebie przy ratowaniu ludzkiego życia”.

Droga do standardów europejskich

Według słów pana Oleksija, ich brygada jest wyposażona we wszystko, co jest konieczne do ratowania życia. Ale jak zdradził, marzy mu się lepszy samochód. Jego „erka” ma już około 10 lat.

„Przed kilku laty na tych zawodach większość ukraińskich ekip startowała na „Gazelach” i „Uazach”, – twierdzi kierownik polskiej instytucji, szkolącej lekarzy-ratowników Mieczysław Wojciechowski. – Dziś

stacji ratownictwa Oksana Czaban. Jak stwierdziła poziom wiadomości polskich i ukraińskich medyków różni się – cała Europa działa według standardów 2010 roku, a Ukraina – na razie tylko z 2005 roku. „Przed wszystkim brakuje nam funduszy, – twierdzi. – Gdy będą pieniądze, to pojawi się możliwość zakupu nowych urządzeń, sprzętu i prowadzenia szkoleń. Samodzielnie nie jesteśmy w stanie sfinansować wszystkiego – za drogą. Marzy nam się, że kiedyś zrobią to nasze władze”.

Jak zauważył koordynator oddziału pomocy medycznej z Przeworska Tomasz Baran, wiele ekip ukraińskich zademonstrowało bardzo wy-



Ekipa ratowników z Przeworska

sytuacja wygląda o wiele lepiej. Wiele ekip demonstrowało już bardziej współczesny sprzęt. Mamy nadzieję, że z czasem, na Ukrainie pomoc medyczna będzie okazywana według standardów europejskich”.

To właśnie w Polsce w ubiegłym roku szkolili się felczer z łuckiej

soki poziom zawodowy, nie zważając na sprzęt, jakim dysponowali. „Na zawodach panuje ciepła, koleżeńska atmosfera – twierdzi. – Na bardzo wysokim poziomie jest organizacja zawodów. Wydaje mi się, że uda nam się utrwalić naszą współpracę i w następnym roku znów przyjechać



*Zdrowia, szczęścia,
humoru dobrego,
a przy tym wszystkim
stołu bogatego.
Mokrego dyngusa,
smacznego jajka
i niech te święta będą jak bajka.*

będą podporządkowani bezpośrednio gubernatorom, jak to jest teraz w Polsce – wojewodom. Za podstawę ustaw zostały wzięte najlepsze doświadczenia polskich medyków.

Na zakończenie o sanatorium „Przebiśnieg”. Nie przez przypadek zostało ono wybrane na miejsce międzynarodowych zawodów. Usytuowane w zacisznym sosnowym lesie, z daleka od dróg, wnętrza udekorowane w stylu ukraińskim, potrawy autentycznej kuchni wołyńskiej – to argumenty nie do odrzucenia, pozwalające gościom zaprezentować najlepiej uroki Wołynia.



Walentyna Kasarda na tle dekoracji – dawnych sprzętów gospodarskich z okolicznych wiosek

na Ukrainę. Mamy najlepszy wóz reanimacyjny produkcji duńskiej. Mam nadzieję, że kiedyś na Ukrainie też pojawią się takie wozy”.

Jak stwierdził Oleg Uszkiewicz, Ukrainę w najbliższym czasie czeka reforma medycznych służb ratunkowych. Przygotowano już stosowne projekty ustaw, określających prawne uregulowania odpowiedzialności poszczególnych służb. Między innymi, kierownicy wojewódzkich służb

„Samo życie dyktuje nam warunki pracy, – twierdzi kierownik sanatorium Walentyna Kasarda. – Odrzuciliśmy wszelkie produkty z supermarketów. Wszystko – zaczynając z jarzyn i owoców i kończąc wyrobami mięsnymi produkujemy sami w naszym gospodarstwie. Pracują u nas ludzie z okolicznych wiosek: szczerzy, serdeczni, gościnni. Tak ma być i u nas – bo to są odwieczne rysy mieszkańców Wołynia”.

PRIMA APRILIS

*Jak mawiał Mikołaj Gogol –
Śmiech to jest „piękna zaraza”,
Bo rozwesela, rozbawia,
Optymizm wzbudza od razu.
A, że dziś PIERWSZEGO KWIETNIA
PRIMA APRILIS po prostu.
Śmiać się wypada i trzeba
Mimo, że jest to czas postu.
Do złego nie namawiając,
Żeby nie zgrzeszyć – odpukać (!)
Choć jedną osobę trzeba
Jednakże dzisiaj oszukać!
Oszustów jest w świecie mnóstwo
To takie jest „czarcie ziele”,*

*W domach, urzędach, na targu...
Z oligarchami na czele.
Oszukać, być oszukanym
Każdemu się może zdarzyć,
Bez kary oszukać można
Dzisiaj, bo to jest DZIEŃ ŁGARZA.
Kimkolwiek, gdziekolwiek jesteś
Popelnij dziś jakieś łgarstwo
Bo uśmiech, słoneczny nastrój
Na kryzys – świetne lekarstwo!*

MIKOŁAJ ONISZCZUK
Warszawa, 1 kwietnia 2012 r.

REMINISCENCJE KATYŃSKIE

EUGENIUSZ NIEMIEC

„...Za naszych braci poległych
błagamy,
Cierniem męczeństwa uwieńczyli
skronie,
A nam wolności otworzyli bramy...”
(z tekstu hymnu:
„Boże, coś Polskę”)

Ziemia Smoleńska i Smoleńsk, położone na wyżynnym terenie nad Dnieprem, wyznaczającym historyczny szlak wodny „od Waregów do Greków”, od wielu wieków były terenem, na którym krzyżowały się nie tylko drogi, ale przede wszystkim interesy ludów zamieszkujących Europę środkowo-wschodnią. Począwszy od Rusi Kijowskiej, do władania tą ziemią pretendowali rosnący w siłę sąsiedzi, a w szczególności Wielkie Księstwo Litewskie i Carstwo Rosyjskie. W wyniku Unii Lubelskiej (1569) Litwy z Królestwem Polskim również Rzeczpospolita Obojga Narodów w XVI-XVII wieku została wciągnięta w nieustające wojny z ówczesną Rosją. Ówczesne klęski Rosji są tam dobrze pamiętane do dnia dzisiejszego, czego przykładem jest znany fakt, że po obaleniu komunizmu świętem narodowym w Rosji, w miejsce święta Rewolucji Październikowej, uczyniono rocznicę wypędzenia wojsk polskich z Kremla w 1612 roku.

Położenie geograficzne sprawiło, że prawie wszystkie te wyprawy wojenne nie omijały Smoleńska. Również wyprawa Napoleona na Rosję w 1812 roku, jak i zmagania podczas II wojny światowej (1941–43) sprawiły, że Ziemia Smoleńska stała się terenem szczególnie krwawych zmagania wielkich armii. Dla Polaków Ziemia Smoleńska stała się niestety miejscem hekatomby ofiar i morza przelanej polskiej krwi przez zbrodniczy totalitaryzm sowiecki podczas ostatniej wojny światowej. Tragiczna katastrofa polskiego samolotu prezydenckiego z 96 osobami na pokładzie w dniu 10 kwietnia 2010 roku pod Smoleńskiem, dopełniła czarę goryczy, uzasadniającej określenie przez Polaków tej ziemi jako przekłetej.

Koźlińscy

Warto przypomnieć, że w carskiej Rosji w okolicach Smoleńska zamieszkiwali dość licznie Polacy. Tereny, na których dokonano zbrodni katyńskiej, w XIX i na początku XX wieku należały do polskich ziemian. W Kurierze Galicyjskim (nr 9/2010, str. 23) pisałem o rodzinie i dworze Lednickich, którzy byli właścicielami lasu i ziem Katyń-Borek, na terenie których znajduje się obecnie cmentarz polskich oficerów pomordowanych w 1940 roku. Piękną kartę patriotyczną zapisała również rodzina Koźlińskich, właścicieli folwarków Iwische k. Smoleńska, na terenie których leży m.in. słynne Gniezdowo.

Ostatnim właścicielem Gniezdowa był Piotr Koźliński, aktywny uczestnik Powstania Styczniowego (1863), natomiast jego syn Edward (ur. 1890 r.) był carskim oficerem, po rewolucji październikowej walczącym z bolszewikami w rejonie Smoleńska z polskiej strony „białych”. Po wojnie pol-



Architekci powojennej Europy – Wielka trójka w Jaltie-luty 1945 (źródło: dodatek do Gościa Niedzielnego z 21.08.2011)

sko-bolszewickiej musiał opuścić rodzinne strony i osiadł w majątku żony Czarnowszczyzna koło Nowogródka. W okresie międzywojennym zaangażował się w współpracę z Oddziałem II Sztabu Głównego WP (tzw. „dwójka”) i jako agent pod pseudonimem „Dnieprowski” pojawiał się na ziemi smoleńskiej, pozostając nieuchwytnym dla sowieckiego kontrwywiadu aż do czasu wojny. Na początku roku 1940 rotmistrz Edward Koźliński został aresztowany, jako poszukiwany za przynależność do białogwardystów oraz jako carski oficer. Wśród zarzutów znalazł się również mówiący o tym, że jego pułk białogwardyjski zakopał w lesie katyńskim broń i sporą ilość złota. Po przesłuchaniach w Lidzie, Smoleńsku i Mińsku, w połowie kwietnia 1940 roku, pod zbrojną eskortą został przewieziony do Katynia w celu wskazania miejsca ukrycia broni i złota skarbu.

Tu eskorta i więźni trafili na niezwykle widok, a mianowicie na otwarte doły ze zwłokami w polskich mundurach. W tej sytuacji zrezygnowano z poszukiwania skarbu i broni, rotmistrza zamknięto na noc w Gniezdowie, zapewne w oczekiwaniu na decyzje w sprawie dalszego postępowania z więźniem. Jak można było oczekiwać, decyzja mogła być tylko jedna: świadka należy zlikwidować. Rotmistrz, znający doskonale sowieckie obyczaje, wykorzystał stosowną chwilę, aby uciec z tymczasowego aresztu, powrócił do Grodna i w jednej z podgrodnierskich wsi, w połowie maja 1940 roku, nawiązał kontakt ze swoim 17 letnim synem Zbigniewem (ur. 1923), który w tym czasie działał już w strukturach konspiracyjnych pod ps. „Gryf”. Nie było to jednak spotkanie typu rodzinnego, bo na to nie było czasu. Ojciec przekazał synowi pilny meldunek o następującej treści: „Melduję, zostałem aresztowany w Lidzie przez NKWD. Na badania przewieziono do Smoleńska, w rodzinne

strony. W połowie kwietnia zabrano mnie na konfrontację lokalną do Gniezdowa. W lesie Katyń nad Dnieprem są masowo rozstrzelani nasi jeńcy, oficerowie. Masowa zbrodnia. Potworne”.

Zbigniew oprócz meldunku otrzymał od ojca polecenie dotarcia z tą informacją do szefów konspiracji w Grodnie, a także przedarcia się przez granicę, dotarcia do Warszawy i poinformowania polskich struktur podziemnych. Zbigniew wykonał pomyślnie polecenie w czerwcu 1940 roku. W Warszawie wielokrotnie go przesłuchiowano, bowiem informacja o masakrze wydawała się niewiarygodna oraz obawiano się prowokacji. Według Tadeusza Kisielewskiego, rtm. Edward Koźliński tę samą informację przekazał także innemu pracownikowi przedwojennej „dwójki” Antoniemu Fiszerowi.

Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku rtm. Bolesław Lisowski (ps. „Garda”), z rozkazu nowogrodzkiego ZWZ, dostał polecenie sprawdzenia na miejscu prawdziwości wspomnianego meldunku.

Patrol w czteroosobowym składzie (do zespołu został także włączony Zbigniew Koźliński), podający się za handlowców, dotarł do Gniezdowa 24 grudnia 1941 roku.

Działając już po wycofaniu się Sowietów z tych terenów, z łatwością uzyskali od miejscowej ludności potwierdzenie zbrodni i zostali zaprowadzeni na miejsce egzekucji. Rozkopali jeden grób, stwierdzili, że spoczywają w nim zwłoki w polskich mundurach i postawili prowizoryczny krzyż.

Czy i kiedy meldunek o zbrodni dotarł do Londynu? Oficer kontrwywiadu AK płk. Jan Cieślak twierdził, że polski wywiad już latem 1940 roku poinformował centralę w Londynie o zbrodni katyńskiej. Oznacza to, że alianci świetnie wiedzieli o sowieckiej zbrodni dużo wcześniej i więcej, niż ogłosili to Niemcy w swoim komunikacie z dnia 13 kwietnia 1943 roku. Nie pierwszy i nie ostatni raz ukryli sowiecką zbrodnię przed światem, aby nie urazić Stalina.

A jakie były dalsze losy ojca i syna Koźlińskich? Rtm. Edward po prze-

kazaniu meldunku chciał przedostać się przez Kowno do Szwecji. Niestety zaginął i do dzisiaj nie natrafiono na żaden jego ślad. Natomiast jego syn Edward w walkach partyzanckich utracił nogę, po wojnie w Łodzi zdał egzamin dojrzałości i został inżynierem. Napisał książkę: „Czerwoni z dobrego domu. Opowieść znad Niemna”, wyd. w 2007 roku. Opowieść o dziejach związanych z okolicznościami ujawnienia zbrodni katyńskiej można także znaleźć w książce Jacka Trznadla: „Powrót rozstrzelanej armii”, 1994. Dzieje Koźlińskich – to jeden z licznych przykładów patriotyzmu i bohaterstwa kresowych Polaków.

Zbrodnie utajnione?

O ile zbrodnia wymordowania polskich oficerów z obozów jenieckich została stosunkowo dobrze poznana, opisana i uczczona, o tyle bardzo mało wiadomo o losach tysięcy polskich więźniów, przetrzymywanych w obozach pracy i więzieniach na terenie Zachodniej Białorusi i Zachodniej Ukrainy, aż do wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej w 1941 roku. Ziemia podsmoleńska obfitowała w szereg mniejszych i większych obozów, a więźni smoleńskie NKWD cieszyło się szczególnie złą sławą. Wg badań dr Tadeusza Kisielewskiego, w obozach tych więziono ok. 16 371 polskich obywateli. Byli to głównie szeregowi żołnierze i podoficerowie, cywile, spora grupa duchownych, a także – co ciekawe – grupa 579 polskich oficerów internowanych w 1939 roku na terenie Litwy i Łotwy oraz niewielka grupka oficerów, pierwotnie internowanych w Kozielsku i Starobielsku, których zimą 1939/1940 pojedynczo i w małych grupkach wywieziono z ww. spec-obozów dla jeńców wojennych.

O istnieniu tych obozów wiemy przede wszystkim ze źródeł sowieckich, które w latach 1943–44 poinformowały opinię publiczną, że takie obozy istniały. Ponadto wiadomo to z relacji miejscowej ludności, a także z argumentacji niektórych historyków sowieckich, którzy przy okazji przypisywania zbrodni Niemcom ujawniali informacje o tych obozach.

Archiwa Wehrmachtu także zawierają dokumenty zdobyte w zajętych przez wojska niemieckie obo-



Bezimienni enkawudziści – foto z wystawy w Miednoje (źródło: dodatek do Gościa Niedzielnego z 7.03.2010)

CZYM NAS NADBUŻE ŁĄCZY I URZEKA?

Tylko z pozoru tereny naszego Nadbuża są nieco senne, uśpione jakby milczącym, duchowym pięknem natury. Jest strefą ciszy i spokoju, w oddali od zindustrializowanej i skomercjonalizowanej cywilizacji. Tak czy owak – Nadbuże żyje własnym życiem od dziesięcioleci i urzeka przede wszystkim naturalnym, wielobarwnym pięknem przyrody.

MIKOŁAJ ONISZCZUK
tekst
TADEUSZ KUCHARUK
LIDIA RUCKA zdjęcia

A jest nim uśmiech kwiecistych i wonnych łąk, są pola żytem i gryką pachnącą, klekot wiernych swym gniazdom bocianów, aromat żywicznych lasków sosnowych czy wszechobecny śpiew ptasich chórów. Są wierzby i kaliny, bez których nie byłoby czegoś z uroków sąsiedniej Ukrainy. W tym krajobrazie rosną poranków, piasków i słońca rezyduje pokoleniowa mieszanka języków, kultur, obyczajów, religii i wyznań. Mieszkają tu od dawien dawna, w zgodzie i we wzajemnym szacunku, Polacy, Ukraińcy, Białorusini oraz minimalna już mniejszość żydowska. Obok siebie funkcjonują kościoły i cerkwie. Tak jest zwłaszcza na moim rodzinnym skrawku nadbużańskiego Podlasia, we wsi Żelewsze i na odcinku między Kodniem a Szostakami czy Jabłecznią, a z całą pewnością w Zablociu.

Trudne czasy przetrwały wsie i ich mieszkańcy. I Bug, który nie dzieli, a łączy, mimo że wylewa obficie rokrocznie na wiosnę, mimo unijnej granicy Schengen. Mimo destrukcji II wojny światowej czy brutalnej akcji wysiedleńczej w 1947 roku, pod kryptonimem akcji „Wisła”, potocznie określanej mianem akcji „WU” czyli wysiedlaniem Ukraińców. Zmienność, w ciągu 2–3 godzin KBW wysiedlało wsie i ich dobytek. Zwierzęta i ludzi ładowano do wagonów towarowych



np. w Chotyłowiu i wieszono na Ziemi Odzyskanej, bez wskazania, gdzie konkretnie. Była to po prostu deportacja. W efekcie wyludniano wsie, znikła część budynków, czego ślady widoczne są po dzień dzisiejszy, choćby w postaci zniknięcia wsi Sugre, między Żelewszem a Kodniem. Część wysiedleńców, po blisko dziesięciu latach zakazu powrotu, jednak wróciła, mieszka do dzisiaj i nadal żyje w zgodzie, bez zbędnych resentymentów. Może nie najbogaciej, ale nawet... śpiewnie, bo takie są nasze słowiańskie dusze. Przykładem tego jest chociażby dwunastoosobowy

amatorski zespół śpiewaczy „Jarzębina” z Zabłocia, obchodzący w maju br. 21-lecie działalności. Staraniem Studia „Eureka” w Białej Podlaskiej i Gminnego Centrum Kultury, Sportu i Turystyki w nadbużańskim, gminnym Kodniu, z okazji ubiegłorocznego 20-lecia, wydana została piękna płyta z nagraniami tego zespołu. W repertuarze zespołu są polskie i ukraińskie piosenki, wykonywane i po polsku, i po ukraińsku. Już same tytuły niektórych z nich fascynują i wzruszają, jak chociażby „Rozprahajcie chłopci koni”, „Oj pijdu ja ponad Buhom”, „Czorni oczka jak tereń” czy

„Za sełom”. Ale są i inne, dobrze znane i śpiewane przy różnych okazjach, jak „Tecze woda” czy „Samotny stoję nad Bugiem”. W tekstach piosenek jest i „zablocka” jarzębina, i kwitnąca bielą czeremcha, i lipka, i czerwone jagody i wreszcie – księżyc świecący na błękitnie. Jednym słowem jest szeroka gama, a nawet gala tradycyjnego folkloru nadbużańskiego. Piszę o tym nieco szerzej, acz nie



przypadkowo, bo w natłoku i w agresywnym zalewie „anglojęzycznych” piosenek i piosenkarzy, zapomina się o rodzimym folklorze, a o tym lokalnym, jak tym nadbużańskim, nawet w Polsce nie słychać prawie wcale. Dobrze, że jeszcze niektóre zespoły przebijają się w środowiskach polonijnych, na ich zaproszenie. Ale już w Warszawie, choć to centrum Europy i około 150 km od Białej Podlaskiej, o wspomnianym tu zespole dotąd nie słyszałem. Świat się dla nas otworzył, więc dobrze byłoby, żeby tym otwarciem objąć także szerzej Zabłocie i Nadbuże!



Widok na Bug

PODLASKIE HAWAJE

*Nad Bugiem co wioska –
Kurort w szczerym polu,
Weekend przedniej marki...
Pod tyk alkoholu.*

*Po jezioru pływa
Kaczuszka lub gąska.
Żywa ekologia...
I pyszna zakąska.*

*Nad Bugiem raz deszcze,
Raz pogoda sucha,
Ryb w nim pod dostatkiem,
Nawet jak „przyducha”.*

*Komarów nad wodą
Nigdy nie brakuje,
„Ojciec” Łukaszenko
Przez Bug eksportuje.*

*Są wzdłuż Bugu laski
I zielone gaje,
A to dla przyjezdnych
Kurortem się staje.*

*Do sklepów daleko,
Autobusów mało,
Lecz piesze spacery
Krzepią duch i ciało.*

*Ci, co tu mieszkają –
To ludzie zwyczajni.
Na Nadbużu wszyscy
Gościnni i fajni.*

*Więc najlepszym lekiem
Na depresję, stresy
Lepsze niż Hawaje...
Są podlaskie kresy!*

MIKOŁAJ ONISZCZUK

Zajęcia plastyczne pod strzechą

Młodzi artyści z klubu „Skrzydła”, który działa przy Lwowskim Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych, rozpoczęli nowy nabór na zajęcia plastyczne dla dzieci i młodzieży szkolnej ze Lwowa. Zajęcia odbywają się w galerii „Własna Strzecha” przy ul. Rylejewa 9. Ich celem jest wykształcenie w uczestnikach wrażliwości estetycznej i umiejętności wyrażania siebie poprzez sztukę.



Wszelkie informacje znajdą Państwo pod numerem telefonu: **063 287 27 07** –

Władysław Maławski
mail: skrzydla.lwow@gmail.com



Spokojnych i pogodnych Świąt Wielkanocnych,
pełnych miłości i rodzinnej ciepła!

Wielkanoc 2012

TADEUSZ KURLUS

Wpierw nastanie Wielki Tydzień, ze szczególnie ważnymi dniami – Wielkim Czwartkiem, Wielkim Piątkiem i Wielką Sobotą, potem, w niedzielę, będziemy obchodzić najstarsze i najważniejsze święto chrześcijańskie – dzień Zmartwychwstania



Pańskiego, czyli Wielkanoc. Od lat wiele poczta wydaje znaczki podkreślające wagę tego święta. Możemy przedstawić już wydane tegoroczne



emisje: Watykanu, Słowacji, Węgier, Rumunii, Polski, Chorwacji i Finlandii (informacje innych poczty nie dotarły do nas przed zamknięciem numeru).

Watykański walor przedstawia miniaturę z Chrystusem udzielającym po zmartwychwstaniu błogosławieństwa, pochodząca z brewiarza



króla węgierskiego Macieja Korwina (1443-1490), wielkiego bibliofila. Autorem brewiarza był Florentyńczyk Antonio Martino, który pisał go w latach 1487-1492, a opatrzyli go miniaturami artyści ze szkoły Domenico Ghirlandaio i Attavante degli Attavanti. Znaczek słowacki poka-



zuje drogę Jezusa na Golgotę na obrazie niemieckiego malarza Hansa von Aachen (1552-1615); dzieło należy teraz do kolekcji Słowackiej Galerii Narodowej. Znaczek węgierski – to praca współczesnej artystki, Dory Keresztes. Rumuński z kolei (reprodukcja pochodzi z arkusika zawierającego osiem znaczków i jedną przywieszkę – pokazujemy fragment arkusika, dwa znaczki przedzielone



przywieszka) to ikona „Zmartwychwstanie” z 1876 r. znajdującą się w cerkwi św. Pantelejmona w Bukareszcie.

Z Wielkanocą związanych jest wiele zwyczajów i obrzędów, w niektórych krajach są one wciąż bardzo żywe. Do nich odnoszą się kolejne znaczki. Polska seria, zaprojektowana przez Agatę Tobolczyk, proponuje m.in. szukanie zajączka, chorwacki znaczek prezentuje piękną pisanekę, a fiński pokazuje, jak się ją maluje.

W pierwszy dzień wiosny Tatarzy świętują Nowy Rok!

21 marca, w pierwszy dzień kalendarzowej wiosny Tatarzy krymscy świętują nadejście Nowego Roku – Nauroz (Nawrez). Święto nazywane jest „perskim Nowym Rokiem”. Obchodzone jest w większości krajów Środkowego Wschodu, m.in. w Kazachstanie i Kirgizji.



Wszystkiego najlepszego!
Вітаємо зі святом Наврез!
Наурыз мейрамы құтты болсын!
С праздником Наурыз!
Нооруз майрамы кутту болсун!

Kalendarz tatarski należy do do arabsko-perskiej tradycji kalendarzowej, opartej na roku księżycowym.

Nauroz (Nawrez)

W systemie świąt zajmują szczególne miejsce. Razem z nim wita się Nowy Rok oraz wiosnę. Słowo Neuroz pochodzi z języka irańskiego i oznacza: nau (w) – nowy, oraz rez – dzień. Święto obchodzi się 21 marca, czyli wtedy kiedy dzień równy jest nocy. Obyczaj świętowania Neuroza pojawił się wśród Tatarów wraz z przyjęciem religii islamskiej. Neuroz jako święto wiosny wiąże się z szeregiem obrzędów, które mają zaskarbić sobie przychylność sił przyrody i zapewnić urodzaj.

Obchodzenie pożegnania starego roku:

Na tydzień przed 21 marca gospodyni zaczyna się do niego przygo-

towywać. Przede wszystkim kupia się na robieniu porządków, odkłada również stare, nieprzydatne już rzeczy. Mężczyźni zaczynają remont maszyn rolniczych, przygotowują się do wiosennej pracy na polu.

Dzieci szykują maski oraz kostiumy kozy. Dzień przed świętem gospodynie gotują jajka, kebety oraz ciasta. Wieczorem rozpala się ognisko, a w nim spala wszystkie wcześniej odłożone niepotrzebne rzeczy. Z nastaniem zmierzchu dzieci zakładają przygotowane maski, jedno z nich zakłada kostium kozy. Następnie wędrują od domu do domu, śpiewając. W zamian dostają orzechy i słodkości.

Nowy Rok

W dzień Nauroza starsi ludzie odwiedzają cmentarze. Tam sprzątaję mogiły oraz modlą się specjalnymi modlitwami, w których proszą o urodzaj. Tym sposobem łączność z przodkami zostaje podtrzymywana. Towarzyszą oni żywym od początku roku.

www.eastway.pl

Scorpions we Lwowie

Po 45 latach sukcesów na scenach muzycznych świata, legendarny zespół Scorpions kończy swoją działalność. Z tej okazji zorganizowane jest olbrzymie tournée koncertowe po całym świecie. Zespół zaplanował też koncert we Lwowie. Odbędzie się on 27 października na torze kolarskim SKA. Ceny biletów wahają się od 200 do 1999 hrywien. Promocja!!! Pierwsze 100 biletów – po 150 hrywien.

Dyrektor agencji „Premiera”, organizator koncertu grupy, Paweł Obluczko, komentując tę sprawę zaznaczył, że stadion SKA został wybrany, ponieważ we Lwowie nie ma sali koncertowej, mogącej pomieścić co najmniej 6,5 tysięcy widzów.

Na pytanie, czy rozpatrywano stadion „Arena Lwów”, jako możliwe miejsce koncertu, wyjaśnił, że 27 października może być deszczowy i może być zimno. Ze względu na bezpieczeństwo i pogodę – dla artystów i widzów – wybrano SKA.

Jak podali organizatorzy tournée po Ukrainie, zespół będzie koncertował jeszcze w dwu miastach – w Kijowie i w Dniepropietrowsku. W tym celu zespół przygotowywał przez kilka lat widowisko, które przedstawi widzom.



Pierwsza część pożegnalnego tournée „Sting In The Tail” wywołała ogromny rezonans wśród ukraińskiej publiczności i zachwyty mediów. Wpłynęło to na włączenie Ukrainy w drugi etap koncertów pożegnalnych zespo-

łu w 2012 roku. Druga część tournée nosi nazwę „The Final Sting”, na jej program złożyły się same hity.

źródło:
ZAXID.NET,
www.independent.pl



*Wszystko przemija w życiu człowieka,
Nawet uroda z czasem ucieka,
Lecz szkolne lata – to baśń zaklęta,
O których każdy pamięta.*

21 kwietnia
jubileusz 70 lecia urodzin obchodzi

JERZY WILCZYŃSKI

Radości z każdego dnia,
Szczęścia, które wiecznie trwa.
Sukcesów w każdej dziedzinie życia.
Z całego serca Tobie życzymy!

**Koleżanki i koledzy
ze szkolnych lat**

Dotknięcie wiosny w Drohobyczu

KONSTANTY CZAWAGA
tekst i zdjęcia

W Drohobyczu otwarto wystawę malarstwa lwowianina Wiktora Chadżynowa. Artysta jest lwowianinem, członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków oraz Związku Artystów Plastyków Ukrainy.

Na drohobycki wernisaż przybył ze Lwowa cały autokar znanych malarzy i badaczy sztuki, profesorów i dziennikarzy, co najwyraźniej zaskoczyło Drohobycz w cichy niedzielny dzień, gdy po nabożeństwach w różnych świątyniach miejscowi ludzie przeważnie idą do domu lub w gości.

„Malarstwo Chadżynowa rzadko możemy zobaczyć we Lwowie, ponieważ przeważnie ekspozuje swoje prace oraz uczestniczy w różnych projektach artystycznych w Polsce i innych krajach, a tu mamy taką wyjątkową okazję” – powiedział dziennikarzowi „Kuriera” Oleg Mykyta, prezes Lwowskiego Okręgu Związku Artystów Plastyków Ukrainy.

„Mam sentyment do Drohobycza – wyjaśnił Wiktor Chadżynowa. – W tym mieście kiedyś poznali się moi rodzice, którzy tu wtedy mieszkali. Chciałem też „zagłębić” swoich kolegów ze Lwowa w wiosnę i w, nieco zapomniane, piękno Drohobycza”.

W wiosnę „zagłębialiśmy” się zwiędając drewnianą cerkiew św. Jura, katedrę grekokatolicką, Rynek. „Zagłębialiśmy” się w nią przechodząc obok kościoła, pomnika Jana Pawła II i odnowionego popiersia Adama Mickiewicza przed gmachem obecnego Uniwersytetu Pedagogicznego.

Wernisaż odbywał się w barokowym pałacu Jozefa Rotta, którym obecnie zarządza Muzeum Ziemi Drohobyckiej. Całe piętro pałacu oddano na wystawę dzieł sztuki XVII-XVIII w. z majątku Lanckorońskich w Rozdole. Część tych wspaniałych dzieł już zakonserwowano i odnowiono.

W salach na parterze zapanał tymczasem świat figuratywnego malarstwa Wiktora Chadżynowa, który prezentował sam twórca.



Wiktor Chadżynów

„Ekspozowane obrazy – to jego oryginalne refleksje o naszym codziennym życiu – powiedziała Nadia Kitka, pracownik naukowy Muzeum Ziemi Drohobyckiej. – Mamy przed sobą przykład nabizmu – syntezę różnych stylów”.

Malarstwo to nie jedyna pasja Wiktora Chadżynowa. Drugą jest papier czerpany. Tajniki papieru czerpanego poznał podczas warsztatów na Akademii Sztuk Pięknych w Łodzi.

„Obecna wystawa Wiktora Chadżynowa jest znaczącym wydarzeniem dla naszego miasta – mówił Leonid Golberg, redaktor gazety internetowej „Majdan” w Drohobyczu. – Mamy możliwość dotknąć współczesnej sztuki wysokiej klasy. Dziś przyjechali tu ludzie także z okolicznych miasteczek, Truskawca, Borysławia, Stebnyka”.

„Niestety, jestem zawodowo nie przygotowana, ażeby zrozumieć



Podczas otwarcia wystawy

Na Ukrainie stał się pionierem w tej dziedzinie, a jego kompozycje ze sprasowanej, wielobarwnej masy papierowej wywołały sensację w ukraińskim środowisku artystycznym. Już drugie dziesięciolecie Chadżynow pracuje w rodzinnym Lwowie i w Polsce. Jest realizatorem wielu projektów w zakresie malarstwa, fotografii i właśnie papieru czerpanego.

malarstwo Wiktora Chadżynowa i tego nie ukrywam – powiedziała pani Zoriana, muzyk z wykształcenia. – A jednak nie mogę oderwać oczu od tych obrazów, natychmiast udzielił mi się nastrój jego prac”.

W kwietniu wystawę Wiktora Chadżynowa można będzie obejrzeć też w lwano-frankowsku, a potem w Czernihowie na Ukrainie Wschodniej.

Kurier Galicyjski

Można zaprenumerować na poczcie!!!

KOD PRENUMERATY
УКРПОШТА 98780

Cena prenumeraty pocztowej
1 miesiąc – 5,96 hrywien
3 miesiące – 17,88 hrywien
6 miesięcy – 35,76 hrywien
12 miesięcy – 71,52 hrywien

Organizacje i instytucje mogą też zamawiać prenumeratę bezpośrednio w naszej redakcji: osobiście, telefonicznie, listownie lub drogą mailową: kuriergalicyjski@wp.pl

PRENUMERATA W POLSCE

Możliwa jest prenumerata redakcyjna do Polski i innych krajów. W sprawie prenumeraty gazety do Polski, prosimy o kontakt pod naszym adresem e-mail: kuriergalicyjski@wp.pl lub listownie, telefonicznie, faxem na numery i adresy podane w stopce redakcyjnej.

Ponadto „Kurier Galicyjski” można kupić:

w Krakowie w Księgarni „Nestor” przy ulicy Kanoniczej 15, tel. +48 (012) 421 92 94 (kod pocztowy 31-002); w Przemyślu – w Południowo-Wschodnim Instytucie Naukowym, przy ul. Grodzkiej 3 (kod pocztowy 37-700), tel. +48 (016) 678 73 33

Kurier Galicyjski można kupić

Na terenie całej Ukrainy można kupić nasze pismo w kioskach „Ukrpoczty”.

Ponadto:

- w kioskach „Wysoki Zamek” we Lwowie, w Drohobyczu, Truskawcu, Borysławiu, Samborze, Starym Samborze, Turce i Stebnyku;
- w kioskach „Interpres” oraz kioskach „Presa”;

- w polskiej restauracji „Premiera Lwowska” przy ul. Ruskiej 16 we Lwowie;

- w hotelu „Leopolis” – najlepszym hotelu na Ukrainie;
- w kościele św. Antoniego we Lwowie, przy kościele Marii Magdaleny we Lwowie (w niedzielę po nabożeństwie), a także przy kościele w Krzemieńcu;

- w lwano-frankowsku (d. Stanisławowie) w „Sklepie Żelaznym”, Rynek 7;
- pismo jest też dostępne w Instytucie Polskim w Kijowie.



Ciekawe strony internetowe o Kresach

www.kresy.pl
www.kresy24.pl
www.wspolnota-polska.org.pl
www.kresy.najlepsze.net
www.stanislawow.net
www.kresy.webpark.pl
www.kresy-krakow.com.pl
www.kresy-wschodnie
www.wizyt.net/
www.kresy.co.uk stanislawow.pl
www.kresy2000.pl

www.hanaczow.pl
www.fotojonny.republika.pl
www.poznajukraine.com
www.wycieczki.pl.ua
www.lwowiacy.pl

Pełne wydanie Kuriera Galicyjskiego w PDF na: www.kuriergalicyjski.com
www.lwow.com.pl
www.duszki.pl
www.pogranicze.eu

Kantorowe kursy walut na Ukrainie

29.03.2012, Lwów

KUPNO UAH		SPRZEDAŻ UAH
8,02	1 USD	8,03
10,65	1 EUR	10,70
2,58	1 PLN	2,60
12,65	1 GBR	12,82
2,72	10 RUR	2,75

Partnerzy medialni

